

# Rozdział 1

W Berlinie fajne jest jedynie to, że można w nim zniknąć. Po raz pierwszy spróbowałam w parku Tiergarten: ogromny teren, a jednak za mały. W lesie Tegeler Forst jest zbyt wiele alejek spacerowych i za często można tam wpaść na innych ludzi. Dla szukających samotności najlepszy jest Gruenewald.

Jadę S-Bahnem<sup>1</sup>. Na stacji przeciskam się przez tłum do tylnego wyjścia, przemykam się wąską uliczką. Mijam skrzyżowanie i wreszcie mam pod stopami sosnowe igły. Tutaj samochody nie jeżdżą.

Deszczowo dzisiaj. Spacerowicze zostali w domu. Moje adidasy plaskają w błocie jak zwierzęce łapy. Krople wody spadają z drzew na odsłoniętą szyję. Kulę się. Może już nigdy nie wrócę do miasta. Nigdy więcej domu. Nigdy więcej szkoły. Może zostanę na zawsze tutaj, w lesie, może rozplynę się wśród drzew. Żadnych kłamstw. Żadnych fałszywych zapewnień: och, jak mi się tu podoba! Prawda jest taka: Berlin jest koszmarny. Za głośny, za hałaśliwy.

Tylko w lesie jest spokój. I dlatego tu przychodzę. Chcę być sama.

Chcę być sama, ale to niemożliwe. Znowu towarzyszy mi to czarne bydlę. Skrada się za mną w zaroślach. Wielki czarny pies ze sterczącymi uszami, bez pana. Cholerny kundel! Rzucam w niego patykiem, który ze świstem przecina mokre listowie, pies warczy, odskakuje w bok. Patyk spada na ziemię, na mokrą ściółkę. Pies nie odchodzi, znowu biegnie za mną, nie odrywa ode mnie oczu. Naprawdę nie ma właściciela? Nie wiem sama, czy go lubię. To nie jest słodki pieszczoł ani dzielny obrońca dzieci. To czarny kundel o zmierzwionej sierści i małych bystrych ślepiach. Nie potrafię określić, jakiego są koloru.

Podchodzę bliżej i pies czmycha w zarośla. Może zwabię go jedzeniem? Nie, wolałabym, żeby nie podchodził aż tak blisko. Może sobie to tylko wmawiam, ale wydaje mi się, że wyczuwam w nim coś mrocznego, niebezpiecznego. Boję się.

Idę jeszcze kawałek asfaltową drogą, która przecina las. Niemal machinalnie kieruję się w stronę wieży w Gruenewaldzie. Przynajmniej tam pies za mną nie pójdzie. Tam da mi spokój. Burczy mi w brzuchu. Powinnam była coś zjeść, ale kto w takich chwilach myśli o jedzeniu? Ja już w ogóle nie' myślę. Od wielu tygodni.

Wieża w Gruenewaldzie stoi na małym wzniesieniu. Z jej szczytu rozciąga się widok aż na Havel. Wspaniały. Chcę spojrzeć na drzewa z góry, chcę nabrać dystansu. Tak w każdym razie sobie wmawiam. A tak naprawdę mam w nosie widoki. Pies nadal mi towarzyszy, słyszę go w zaroślach. Nadjeżdża samochód, rozpryskuje kałuże. To jedno z tych aut dla całej rodziny - w reklamach w fotelach z tyłu za rodzicami siedzą dzieci. Zawsze dwójka. Pieprzony cudowny świat.

---

<sup>1</sup> S-Bahn - szybka kolej miejska (przyp. red.)

Szybko wbiegam na wieżę. Górny poziom, wzniesiony z czerwonej cegły, jest zamknięty, nie ma dostępu do posągu cesarza Wilhelma. Na wielkich drewnianych drzwiach wisi tabliczka: „Ryzyko upadku”. Nie mogę opanować śmiechu. Przecież i tak cały świat legł w gruzach. Wydaje ci się, że coś będzie istniało wiecznie, a jutro może się okazać, że już tego nie ma. Drzwi są zamknięte, ale wiem, jak się dostać na górę. Kilka stopni wyżej przeciskam się przez uchylone drzwiczki. W środku jest brudno i ciemno, jakbym znalazła się w tajnym przejściu na strych zamieszkanym przez duchy. Stopień, jeszcze jeden, jeszcze... czy powinnam je liczyć? Nie dzisiaj, i tak znam wynik. Dwieście siedem kruchych betonowych schodków.

Drzwi na górze nie są zamknięte, ale coś je blokuje. Napieram barkiem. Tu, wysoko, powietrze jest takie samo jak w lesie, wilgotne i gorzkie od zapachu sosen. Mówi się, że stąd, z góry, świat wygląda inaczej, lepiej. Ale świat, który widzę w dole, jest po prostu zielony. Zielony i mokry.

Moje nogi pokonują znajome stopnie, niosą mnie coraz wyżej. Jeszcze jeden krok i stoję na poręczy. Dlaczego akurat w tej chwili myślę o psie? Od wielu dni towarzyszy mi w lesie. Przyczepił się jak rzep. Nie widzę go na dole, wśród gałęzi.

Usiłuję wmówić sobie, że stąd, z muru, jest najlepszy widok. To kłamstwo, podobnie jak wiara, że umiem latać. Nie potrafię tego. Na szczęście. Jeszcze krok i jak kamień runę na ziemię. Ważne jest tylko jedno: czy to wystarczy? Czy wieża jest dość wysoka? Z ilu metrów trzeba spaść, by nie poczuć uderzenia? Żeby życie uszło od razu? Jestem tchórzem. Nie chcę cierpieć, nie chcę mieć połamanych rąk i nóg, gdyby się nie udało. Powoli rozpościeram ramiona.

Ktoś chwyta mnie za rękę, od tyłu. Przerazona, odwracam się, tracę równowagę, obsuwa mi się noga i mało brakowało, a jednak runęłabym w przepaść. Ale nie, on mnie chwyta. Najdziwniejszy chłopak, jakiego w życiu widziałam. Jak kotwica trzyma mnie przy życiu.

## Rozdział 2

Wóz meblowy podjechał pod dom w deszczowy czerwcowy dzień. Teraz jest wrzesień i nadal pada. Trzy i pół miesiąca. Trzy i pół miesiąca, przez które, jak mówią moi rodzice, mieliśmy nabrać dystansu. Trzy i pół miesiąca, by przyzwyczać się do nowego miasta i nowej szkoły. Jestem jak przesadzona roślina, której korzenie zostały na starym miejscu.

Moje korzenie zostały w Hamburgu. Nie wybrałam sobie tego miasta. Urodziłam się tam, najpierw ja, potem mój młodszy brat. Mieszkaliśmy w szeregowym domku z małym ogródkiem, w którym ja sadziłam truskawki, a mój brat - fasolę, koło ściany garażu. Zazdrościłam mu, bo jego roślinki były wyższe niż moje, a on zazdrościł mnie, bo moje truskawki były smaczniejsze niż jego fasola. Zawsze ukradkiem wyjadał mi połowę plonów.

W zeszłym roku, w zimie, gdy zjeżdżał na sankach, wpadł na drzewo. Złamał nogę. Wezwaliśmy pogotowie, zabrali go do szpitala, na ostry dyżur. Przez całą drogę płakał i krzyczał. Pocieszaliśmy go, powtarzaliśmy, że wszystko będzie dobrze. Oczywiście nogę prześwietlono i włożono w gips. I wtedy lekarze dopatrzyli się na zdjęciu rentgenowskim jakiejś podejrzananej plamki. Zdjęli gips, zrobili nowe zdjęcie. Zbadali. I zrozumieli. Plamką na kliszy była śmierć, która już czaiła się w ciele mojego brata. Rak. Wszędzie, w całym ciele, małe, złośliwe guzki. Słowo „metastazy” składa się z wielu liter, a każda symbolizuje inny koszmar.

Chemioterapia. Wypadające włosy. Ból. Daremne operacje. Siedemnastego maja mój brat zmarł. Wkrótce potem dojrzały truskawki.

Trzy dni później odbył się pogrzeb. Rodzice nie mogli wytrzymać w naszym domu. Jakby nawet powietrze było skażone. Jakby nagle nabawili się alergii na ogród. Wszystkie rzeczy brata, wszystko, co go przypominało, trafiło na śmietnik. Starannie zamknęli wieko. Siedemnaście lat rodzinnego życia zmieściło się w najmniejszym wozie meblowym. Uciekli z Hamburga i zostawili tam mojego brata. Samiuteńkiego.

Chcę do niego! Chcę z nim porozmawiać! A przynajmniej chcę być blisko niego, żeby go opłakiwać. Chcę zasadzić fasolę, która oplecie jego grób. Chcę obsadzić grób truskawkami i powiedzieć, że wszystkie są dla niego.

A teraz biegnę przez Berlin. Berlińczycy mówią „biegnę”, nawet gdy myślą: „idę”. Berlin. Wiem, że to niewłaściwe miasto, wiem, że brata tu nie znajdę, ale i tak nie mogę się zatrzymać. Czasami po prostu muszę biec, aż tracę oddech i przestaję myśleć, staję się rytmem. Stopy równomiernie uderzają o ziemię. Nogi niosą mnie w dal. Krok za krokiem.

Dzisiaj jest wyjątkowy dzień. Koszmarny dzień. Dzień, którego nie zniosę, kiedy jestem gotowa zrobić wszystko, byle już nie cierpieć. Dzisiaj są moje urodziny i po raz pierwszy mojego brata nie ma przy mnie. Niby niechący

straciłam ze stołu tort z wielką liczbą siedemnaście i moim imieniem, Luisa. Widziałam, jak sztuczny uśmiech zastyga na twarzach rodziców, gdy ciasto spadło na dywan. Nie mam pojęcia, co kryło się w idiotycznej paczuszce na stole. Dłonią zgasilałam świeczkę. Cały pokój cuchnął śmietaną z truskawkami i woskiem. Spakowałam torbę i poszłam do szkoły.

Życie boli bardziej niż otwarta rana. To jest prawdziwy powód, dla którego stoję teraz na tym murze, zaledwie krok od śmierci.

I nagle ten chłopak. Odwracam się ostrożnie w jego stronę. Zmniejsza uścisk, ale mnie nie puszcza. Jakbym była schwytanym ptakiem, który może uciec. Teraz go widzę. To jeszcze chłopak czy już mężczyzna? Wydaje się niewiele starszy ode mnie. Gdybyśmy stali koło siebie, byłby pewnie wyższy ode mnie o pół głowy. Ma na sobie czarny płaszcz do kolan. Postawił kołnierz - może dla ochrony przed chłodem, a może przed czymś o wiele gorszym. Z mojej perspektywy, z wysokości muru, wydaje się niemal kruchy. A mimo to wyczuwam jego siłę, gdy mnie trzyma. Jego wąskie dłonie są jak ze stali. Ścisną mnie tak mocno, że zatrzymuje mi krążenie krwi, drętwieje mi ręka. Chłopak unosi głowę, z napięciem patrzy mi w oczy, jakby chciał z nich wyczytać, co chcę zrobić. Szare kosmyki, sięgające niemal brody, otaczają wąską, bladą twarz. Czy taki kolor włosów w ogóle istnieje? To nie jest siwizna starszych pań, które w okolicach dworca wychodzą z pieskami na spacer. Ich włosy są zadbane, mienią się perłowo. Jego włosy są szare jak pióra wrony. W połączeniu z ciemnymi oczami, w których kryją się cienie, wygląda jak bohater japońskiej mangi.

Wydaje się pewny, że nie będę stawiała oporu, i ciągnie mnie za rękę. Nie opieram się, nie teraz, nie dziś. Za bardzo się go boję. Zjawił się nagle, nie wiadomo skąd. Uginam kolana, aż nasze oczy znajdują się na tym samym poziomie, i niezdarnie zeskakuję z muru, tracę równowagę, potykam się. Chwyta mnie szybko jak atakujący drapieżnik. Znowu trzyma mnie za ramiona. Przygląda mi się bez słowa. Jest tak blisko, że słyszę jego oddech, widzę ciemne punkciki w jego szarych oczach. Pachnie lasem.

- Obiecuj mi, że nigdy więcej tego nie zrobisz - mówi, tak cicho i ochryple, że zastanawiam się, kiedy po raz ostatni używał głosu. Dostaję gęsiej skórki na całym ciele. Już dawno nikt ze mną nie rozmawiał. Ze mną, a nie obok mnie, wymijająco, jakby nie mógł znieść mojego wzroku.

To miłe uczucie. Uśmiecham się. On także. Jego uśmiech przywołuje na myśl promyk słońca, który po długim deszczu rozjaśnia mokrą ziemię. Pierwszy powiew wiosny po zimie. Zbyt mało, by się ogrzać, ale niesie nadzieję na coś więcej.

Chłopak cofa się o krok, jakby dopiero teraz się zorientował, że jako ludzie sobie obcy stoimy zbyt blisko siebie. Powoli puszcza moje ramiona, jakby zmuszał do tego każdy palec z osobna. Jego prawa dłoń zsuwa się z mojego barku, zamyka się na mojej dłoni, ale nie odwzajemniam uścisku. A może powinnam? Nie mogę oderwać wzroku od jego oczu. To nie romantyczne

trzymanie się za rączkę. Nieznajomy jest czujny, gotowy, by chwycić mnie ponownie. Bo niczego mu nie obiecałam. Czeka, aż choć skinę głową.

Nie chcę tego zrobić. Przecież wcale mnie nie zna. Skąd może wiedzieć, jak to jest, kiedy życie staje się nie do zniesienia, kiedy nie można wytrzymać nawet minuty? Czy cały czas będzie przy mnie? Pewnie już nigdy więcej się nie spotkamy.

- Niby dlaczego miałabym ci to obiecać? - pytam. W końcu odrywam od niego wzrok, patrzę na drzewa poniżej. Jesteśmy naprawdę wysoko, samochody w oddali, na parkingu wyglądają zabawki. W lesie pod nami przez korony drzew dostrzegam plamy trawy. Gdyby nie on, leżałabym tam teraz.

Podąża spojrzeniem za moim wzrokiem. Rozumie. Oboje wiemy, że gdyby mnie nie powstrzymał, już nie żyłabym. I oboje wiemy, że właśnie tego chciałam, że nadal tego chcę.

To niewłaściwe.

Chłopak trzyma mnie za rękę. Czuję napięcie w jego palcach, jakby się obawiał, że wyrwę mu się i rzucę w dół. Chrząka, ale jego chrypka nie ustępuje.

- Pomyśl o tych, którzy zostaną.

- Nikt nie będzie za mną tęsknił. Wszyscy myślą tylko o sobie.

- Nie myśl tak.

- To moje życie. Sama zdecyduję, kiedy się zakończy.

Wzdycha.

- Jak masz na imię?

- Luisa.

- Luisa. Luisa - powtarza raz za razem, jakby rozkoszował się tym dźwiękiem, smakował je jak cukierek, którego smak chce się dokładnie poznać. Luisa. Po raz pierwszy nie mam do rodziców pretensji o imię. W jego ustach brzmi ciepło.

- Brakowałoby mi ciebie, Luiso.

Nie czeka na moją odpowiedź, jakby dał mi dość czasu, bym mogła zdecydować, czy skoczę, czy złożę mu obietnicę. Zaciska dłoń. Ciągnie mnie do schodów. Ostrożnie uchyla drzwi. Idzie przodem. Podążam za nim, krok po kroku. Stąpa miękko, bezgłośnie. Słyszę szelest jego płaszcza, gdy muska ścianę. Gdzieś na zewnątrz trzaskają drzwi samochodu. Chłopak czeka chwilę, wygląda przez na wpół otwarte drzwi. Wychodzimy z wieży, ale nawet wtedy nie puszcza mojej ręki. Zaczynam mieć tego dość. Co on sobie myśli? Że odwrócę się na pięcie, pobiegnę na górę i na jego oczach rzucę się z wieży? Równie dobrze mogę zrobić to jutro. Pojutrze. Kiedy indziej, gdzie indziej, wtedy gdy będzie trzeba. Przecież nie spieszy mi się.

- Już możesz mnie puścić! - mówię. Lekko poruszam ręką.

W odpowiedzi zaciska dłoń.

- Zaraz. - Zeskakuje ze schodów, ciągnie mnie za sobą. Biegniemy przez parking, potem przez las.

Po chwili jesteśmy na szosie. Zatrzymuje się kilka kroków od asfaltu, wśród drzew. Mokra od deszczu ciemne włosy opadają mu na twarz. Odgarnia je za ucho.

Rozgląda się, czy nie jedzie samochód i nie nadchodzą spacerowicze, łapie mnie za ramiona i odwraca do siebie. Patrzy mi prosto w oczy. Brakuje mi tchu, nie tylko po biegu. Spojrzenie chłopaka jest surowe. Nie ma w nim śladu ciepła. Zrozumienie, które wcześniej widziałam w jego oczach, ustąpiło czemuś mrocznemu, czemuś, czego nie umiem nazwać. Głęboko nabiera powietrza.

- Teraz mi obiecasz.

Oddycha tak ciężko, że te słowa muskają mi twarz. Mimo to twardo patrzę mu w oczy. Nie lubię, kiedy się zmusza mnie do czegoś, nawet gdy robi to ktoś równie dziwny, tajemniczy i fascynujący jak on. A poza tym - i ta myśl sprawia, że uśmiecham się krzywo - nawet on nie zna moich myśli. Nieważne, co obiecuję; skąd będzie wiedział, czy dotrzymam słowa?

Ale nagle nie jestem już taka pewna, czy aby na pewno nie jest w stanie usłyszeć tego, co chodzi mi po głowie. Jest zupełnie inny niż wszyscy znani mi ludzie. Taki błady. Taki szary. Może jego nie dotyczą zwykłe zasady? Jego palce wbijają się w moje barki jak orle szpony w ofiarę. Boli.

- Nie waż się! Obserwuję cię!

Strącam jego rękę. Odsuwam się o krok. Co on opowiada?

- Obserwujesz mnie? - Nagle mam wrażenie, że jestem szpiegowana, i nie wiem, czy mi to odpowiada. Śledził mnie w lesie i widział, jak wchodzę na wieżę? Od początku mnie intrygowało, jak się tam dostał. Nie słyszałam nawet jego kroków na schodach. - Od kiedy?

Wzrusza ramionami.

- Od miesiąca, mniej więcej. Nie wiem dokładnie.

Tak byłam zajęta sobą, że nawet go nie zauważyłam. I wtedy przypomina mi się pies, którego chciałam zgubić, ten bezpański kundel. A może wcale nie bezpański? Może miał mnie powstrzymać przed wejściem w zarośla, w których ukrywał się jego pan? Wyobrażam ich sobie obok siebie. Szczupłego chłopca i kudłatego psa, obaj grafitowi jak ich cienie.

- Ten czarny pies... jest twój, prawda? - pytam.

Krzywi się. Unosi kąćki ust, ale to nie jest uśmiech.

- Można tak powiedzieć.

Przez chwilę milczy, oddycha głęboko, powoli wypuszcza powietrze z płuc. Ma pochyloną głowę, nie patrzy na mnie, kopie od niechcenia kamień na wpół porośnięty mchem. Zapyta mnie, kiedy znowu się spotkamy? I gdzie mogę go odnaleźć? Nie może przecież tak po prostu zniknąć z mojego życia, nie teraz, gdy wiem, że istnieje.

- Posłuchaj, Luiso! Wiem, że wydaje ci się, że to nie do zniesienia. Ale musisz mi obiecać! - I kiedy już, już myślę, że skończył, kiedy chcę na niego nakrzyczeć, zapytać, czemu znowu do tego wraca, co on może o tym wiedzieć,

czy ma pojęcie, jak wiele bólu czasami niesie życie, on podnosi wzrok i dodaje cicho: - Proszę.

Nie wygląda na takiego, który często o coś prosi. I właśnie to „proszę” przedziera się przez moją barierę ochronną. To jedno słowo.

- Obiecuję - mówię uroczyście i traktuję to jak przysięgę. Najpoważniejszą z wszystkich; tym samym zamknął mi drogę ucieczki od życia. Pozbawił mnie drogi ewakuacyjnej. Od tej chwili muszę znieść wszystko, co przyniesie los. Możliwe, że całkiem sama.

Na chwilę zamyka oczy, oddycha z ulgą i kiwa głową.

- Dziękuję - szepcze. A potem wypycha mnie z lasu na szosę. - Wracaj do domu, Luiso - mówi. - Wracaj do domu i żyj!

- Zobaczymy się jeszcze? - Nie muszę czekać na odpowiedź. Czytam ją z jego twarzy. Poznaje po tym, jak mnie odpycha, jakby nie chciał, by ktokolwiek widział nas razem. Jak czmycha między drzewa, gdy z prawej strony nadjeżdża samochód.

- Będzie lepiej, jeśli nie - mówi szybko. Puszczą się biegiem. Wydaje się, że drzewa przyciągają go jak magnes opiłki żelaza. Czyżby musiał się ukrywać? Może potrzebuje lasu, jego ochrony i ciszy jeszcze bardziej niż ja.

- Jak się nazywasz? - wołam za nim, szybko, zanim zniknie na zawsze.

Zatrzymuje się na chwilę, jakby musiał się zastanowić. Zerka przez ramię.

- Ja... Thursen! - krzyczy przez strugi deszczu. I znika w zaroślach. Ciekawe, czy tam czeka na niego pies?

## Rozdział 3

Tu, w Berlinie, nie mamy domu. Decyzja o przeprowadzce zapadła nagle. Nasza rodzina się skurczyła. Może jest nas za mało, by wypełnić dom, i dlatego zdecydowaliśmy się na mieszkanie. Trzy pokoje i balkon, na który nikt nie wychodzi, bo żadne z nas nie znosi widoku słońca, moi rodzice jeszcze bardziej niż ja. Piętro wyżej mieszka krucha staruszka, która nie znosi hałasu. Ma szczęście, że żyjemy zamknięci w sobie, jakbyśmy już umarli. Nie słyszą nas. Piętro niżej mieszka rodzina z małą dziewczynką i niemowlakiem. Nad nami - kres życia, pod nami - początek. Niemowlę często płacze.

Dziewczynka nie jest właściwie taka zła. Ma na imię Lotti. Prawie jej nie znam, schodzę jej z drogi. Nie umiem zajmować się dziećmi.

To kłamstwo, które przychodzi mi z łatwością. Prawda jest inna: nie znoszę widoku zabawek. Chce mi się wyć, gdy na podwórku widzę jej rowerek, identyczny jak rowerek mojego brata. Lotti siedzi na ławce i gra w grę elektroniczną. Taką samą miał mój brat. Trochę tak, jakbyśmy pogrzebali jego rzeczy w śmietniku, ale one i tak wracają z za grobu jak duchy. Nie wytrzymuję tego. Nawet wrzask nie pomaga. Nawet awantury z rodzicami i ciskanie szklankami w obrazy na ścianach. Szkło pęka. Fajans rozpada się na kawałki. Ból pozostaje. Przeklinam Thursena, który zamknął mi drogę ucieczki. I zarazem nie dał mi niczego innego.

Codziennosc mnie dusi. Dlaczego muszę chodzić do szkoły? Dlaczego muszę codziennie mijać na ulicy uśmiechniętych ludzi? Dlaczego pod naszym oknem bawi się Lotti? Dlaczego muszę patrzeć na coś, czego nie chcę oglądać? Czuję się, jakbym trzymała rękę w gnieździe os i dzień w dzień doświadczała tysięcy bolesnych ukąszeń. Już czas, żebym znowu wsiadła do pociągu, zaraz po lekcjach. Nie chcę wracać do domu, chcę uciec, chcę do lasu. Dzisiaj chcę tam dotrzeć jeszcze szybciej, jadę autobusem Havelchaussee. Wysiadam za wcześnie, bo nie wytrzymuję ciasnoty pojazdu. Na piechotę idę szlakiem turystycznym aż do jeziora.

Pogoda się poprawia. Nie dla mnie, dla tych wszystkich, którzy w blasku słońca wychodzą z domów i zagarniają las dla siebie. Biegacze wyprzedzają mnie, spychają łokciami z drogi. Matki z dziećmi w wózkach ustępują miejsca rowerzystom. Na brzegu jeziora brązowy pies otrząsa się po kąpiel, opryskuje mnie deszczem kropel. Woda jest zimna, nieprzyjemna. Jestem zbyt martwa, by krzyżeć, szukam wzrokiem innego psa i jego pana w długim czarnym płaszczu.

Idę drogą biegnącą wokół jeziora. Z tyłu nadciąga, przy akompaniamencie dzwonekórowerowych, rodzina. Pograżona w myślach, odskakuję. Potykam się, chwytam się tabliczki na ogrodzeniu. „Wstęp wzbroniony, rezerwat ptaków wodnych. Zachowaj ciszę”, czytuję. Ciekawe, czy kaczki użyją mi ciszy?

Nie ja pierwsza wybieram drogę przez szuwary. Wydeptana ścieżka prowadzi do dzikiego kąpieliska. Szarozielone trzciny, wydeptane w



nieregularne półkole, nikną w błocie. Jeszcze kilka kroków. Głos spacerowiczów to z tej odległości niewyraźny szum. Stoję na brzegu, trzciny sięgają mi do pasa. Woda pluszcze. Płyń kaczką. Podchodzę bliżej, chcę poobserwować. Za blisko, ziemia usuwa mi się spod nóg, czuję wodę w bucie. I jest. Cichy warkot, niemal niesłyszalny. Zerkam za siebie. Nic.

Thursen? Czy pies Thursena mnie obserwuje? Powoli robię kolejny krok, stoję w wodzie, wpatrzona w jezioro. Nasłuchuję.

Trzask za moimi plecami, szelest rozgarnianych trzciny, chrząknięcie. Odwracam się najszybciej, jak to możliwe w bagnie, nie tracąc przy tym butów. I jest, czarny pies stoi za mną, przyczajony, zaledwie kilka metrów ode mnie. Kiedy chcę do niego podejść, odwraca się.

- Thursen?

Co on sobie myśli? Że nie dotrzymam słowa? Naprawdę sądzi, że chcę się utopić w jeziorze? Wracam na ścieżkę, widzę, jak pies zwinnym susem przeskakuje ogrodzenie. Wołam za nim, w stronę lasu, przekonana, że gdzieś tam wśród drzew ukrywa się jego pan:

- Thursen, do cholery! Umieć pływać!

W butach mam pełno wody. Moje stopy są zimne jak lód. Mimo to przełamę przez płot, mijam alejkę, wbiegam do lasu. Pod nogami szeleści mi zeszłoroczna ściółka, jejżyny czepiają się nogawek moich spodni.

- Thursen! - wołam. Przebiegam koło krzewów bzu, płoszę ptaki. Dwie godziny później zmęczona siadam na poboczu nieznannej mi drogi. Nie ma go. Ani Thursena, ani jego psa. Spotykam starszego mężczyznę z jamnikiem, pytam, gdzie jest najbliższy dworzec. Nie wiem, gdzie jestem, nie mam pojęcia, gdzie byłam. I nic mnie to nie obchodzi.

W domu zamykam się w pokoju i rozdygotana kładę się do łóżka, naciągam kołdrę na głowę. Mimo słońca czuję, że jestem chora. Mam nadzieję, że ochrypnę, wtedy miałabym w końcu pretekst, żeby milczeć.

Ktoś puka do drzwi. Goście? Nie chcę otwierać. Pod drzwiami pojawia się kartka, nie przechodzi, gniecie się. Przeklinam, owijam się kołdrą i otwieram. Lotti. Narysowała coś dla mnie. Oto my, tłumaczy dumnie, jej nowi sąsiedzi. Ja i moi rodzice.

Nasza trójka. Resztką rodziny. Lotti nie zrozumiała moich łez. Przecież nigdy nie poznała mojego brata.

Nie zachorowałam. Jeszcze przez kilka dni włóczę się po lesie w poszukiwaniu Thursena. Trzymam się blisko wieży. A potem niebo znowu zasnuwa szara zasłona. Jesień definitywnie pokonała lato i oblewa to deszczem. Mokre włosy opadają mi na twarz, po nosie spływa woda. Zimno mi. W końcu moje ciało i dusza mają tę samą temperaturę. Mam las właściwie dla siebie. Raz jeden wydawało się, że w głębi, koło kępy młodych jesionów, widziałam psa Thursena, ale kiedy tam doszłam, już go nie było. Zmierzcha się. Przemarznięta, poddaję się zimnu i osamotnieniu. Wiem, pewnie już nigdy go nie zobaczę.

Lepiej nie, powiedział. Lepiej dla kogo? Nie mogę nawet sama zdecydować, co jest dla mnie dobre? Chociaż ten jeden, jedyny raz?

S-Bahn wiezie mnie do domu. Pociągi! Moje życie biegnie jak po torach, bez kierownicy. Wiezie mnie w dal, nie bierze pod uwagę moich pragnień. Życie jak tysięcy innych ludzi. Ale ja jestem w ślepych zaułku.

- Jest mi potrzebna cieplejsza kurtka. - Po raz pierwszy od dawna rozmawiam z rodzicami. Ojciec nie pyta, po co mi ciepła kurtka. Nie chce wiedzieć, jak spędzam czas. Zresztą i tak nie powiedziałabym mu. Więc bez słowa sięga po portfel i wyjmuję trzy banknoty. Zdecydowanie za dużo. Wciska mi je w dłoń. Jakby ciepła kurtka mogła rozgrzać także moją duszę. Po kolacji wracam do swojego pokoju. Potykam się o zapomniany plecak. Dzień się kończy. W nocy, we śnie, widzę Thursena. Samego. Gdzie jego pies?

Dzisiaj moje uczestniczenie w lekcjach przypominało oglądanie amerykańskich seriali. Patrzysz, ale to, co widzisz, nie jest rzeczywiste, nie dzieje się naprawdę. Nie jesteś w stanie niczego zmienić, nieważne, patrzysz czy nie. Odsiaduję lekcje, wracam do domu. W naszym mieszkaniu nie mogę oddychać, rozpacz ściska mi gardło. Ale wczoraj coś odkryłam: jeśli w progu wstrzymam powietrze, mogę przebiec przez mieszkanie, nie oddychając żałobą. Oddech w drzwiach, sprint do pokoju, rzucić plecak i na dwór.

Dzisiaj się nie spieszę. W metrze żuję gumę, spaceruję ulicą. Mijam sklepy, lekceważę wystawy, zachowuję się jak duch. Staram się rozpląnąć w ludzkiej masie, ale tłum wypluwa mnie, unosi na powierzchnię.

Afrykanin wybija monotony rytm. Bam-bambam-bam-bam. Jak dziecko, które gra na blaszanej puszcze. Uliczni muzykanci grają na akordeonach. Na krawężnikach siedzą bezdomni, wyciągają przed siebie długie nogi, jakby chcieli, żeby w końcu któryś z przechodniów potknął się i obsypał ich deszczem pieniędzy. Przy jednym z nich siedzi pies.

Nie znajduję odpowiedniej kurtki. Nigdzie. Nawet w domu towarowym, przed którym zapyziały muzyk po raz setny brzdąka na gitarze tę samą piosenkę o górach.

Góra. Moje życie jawi mi się jako wysoka góra, stroma i kamienista. Może powinnam kupić kurtkę dla alpinistów. Taką, która nawet na zabójczym ośmiotysięczniku trzyma ciepło. Ponownie zerkam na zaniechanego chłopaka z czarnym psem. Wyjmuję euro z portfela, wrzucam do jego puszek. To nie Thursen i nie jego pies, ale i tak mi go przypomina. Później idę do wielkiego sklepu turystycznego. Wyobrażam sobie, że kupuję namiot, śpiwór, pakuję wszystko do plecaka i znikam. Mogłabym zmienić nazwisko i już nigdy nie wrócić. Wtedy moje obecne życie dobiegłoby końca, a jednocześnie nie złamałabym danej obietnicy.

Właściwie dlaczego tego nie robię? Kupuję tylko kurtkę. Jest gruba, ciepła, w kolorach, które sprawią, że w lesie będę niewidoczna. Zielono-brązowa jak pnie drzew porośnięte mchem. Sprzedawca z zawodowym uśmiechem pakuje mi ją do torby, bierze ode mnie banknoty, otwiera kasę,

wydaje mi resztę. Jedna moneta z brzękiem spada na podłogę, zanim zdążę ją złapać. Cholera, to mi coś przypomina. Chłopaka z psem, który siedzi przed sklepem. Czy ten pies nie wyglądał jednak zupełnie jak pies Thursena? A jeśli ten chłopak coś wie? Jeśli zna Thursena? Schylam się po monetę, chowam resztę do kieszeni. Nagle bardzo mi się spieszy. Po chwili jestem na zewnątrz. Muszę przebiec spory kawałek, i to nie przez las. Nienawidzę betonu. Mijam wystawy różnych sklepów: piekarni, rzeźnika, butików, sklepów obuwniczych. Jest tam, tamten chłopak, niemal dziecko jeszcze, ma wpół przymknięte oczy, opiera się o kolorowy mur, za którym ruchome schody prowadzą na stację metra. Wyciągnął nogi w szarych, znoszonych dżinsach. Lewą dłonią głaszcze psa. Stoję nieco z boku, nie zauważa mnie, ani mnie, ani rozgadanych grup ludzi, którzy przechodzą. Mężczyzna z wąsami i aktówką wrzuca monetę do jego puszki. Chłopak podnosi wzrok, jakby wyrwano go ze snu. Uśmiech wdzięczności pojawia się za późno, mężczyzna już zniknął za rogiem na schodach do metra. Pies ani drgnie. To nie jest pies Thursena, tak mi się wydaje, choć jest do niego bardzo podobny. Może trochę masywniejszy. Jeszcze nigdy nie widziałam takich wielkich czarnych, kudłatych psów. Przypominają dzikich krewniaków psów pasterskich. Pies także drzemie, położył łeb na chodniku, nie zwraca uwagi na przechodniów. Wolałabym, żeby wstał, mogłabym mu się lepiej przyjrzeć, zobaczyć jego łapy, jak się rusza. Chłopak nie zamierza wstać, oparł głowę o mur, zamknął oczy. Poczekam. Podchodzę do wystawy, udaję, że interesują mnie ciuchy, a tak naprawdę obserwuję w szybie odbicie jego i psa. Nie ruszają się także wtedy, gdy doszłam do wystawy z męskimi garniturami. Burczy mi w brzuchu, jest mi zimno. Mam w kieszeni drobne, które zostały po zapłaceniu za kurtkę. Kupię sobie za nie gorący precel na straganie na rogu.

Kiedy wracam, chłopak i jego pies zniknęli. Na ich miejscu siedzi brodac na turystycznym krzeselku i rzępoli na skrzypcach marsza żałobnego.

Nie chcę wracać do domu. Wolę las. Wybieram to miejsce, w którym po raz ostatni widziałam psa Thursena. Tam, gdzie przemoczyłam sobie nogi. Tam, gdzie być może czułam na sobie wzrok Thursena.

Tym razem nie podchodzę do jeziora, zamiast tego siadam na zwalonym drzewie i obserwuję kaczki. Sikorka mociuje się z nadłamaną gałązką wierzby. W nowej kurtce jest mi ciepło. Jeszcze na dworcu zdjęłam starą, wpakowałam do reklamówki, włożyłam nową. Po drodze oderwałam metkę, upuściłam, jak Jaś i Małgosia okruszki chleba. Jakbym chciała zawrócić... Nieprawda, wcale tego nie chcę.

Szelest w zaroślach za moimi plecami. Słyszę ciche chrząknięcie, zupełnie jak ostatnio. Odwracam się powoli. O tak, tym razem to na pewno jego pies, pies Thursena. Stoi nieruchomo i przygląda mi się żółtymi ślepiami.

- Chodź do mnie - kuszę, wyciągam do niego rękę. - No, chodź!

Ani drgnie. Ostrożnie zsuwam się z pnia. Stoję przez chwilę i powoli, ostrożnie, robię pierwszy krok w jego kierunku. Stoi jak zaklęty. Kolejny krok. I wtedy, jakbym przekroczyła niewidzialną linię, odwraca się i ucieka długimi

susami. Znika w zaroślach jak spłoszony zając. Wiem, wyczuwam, że gdzieś tutaj, bardzo blisko, był Thursen. A teraz? Nie ma sensu go wołać. Nie ma sensu za nim biec. Znowu jestem sama. Łzy spływają mi po policzkach, zalewają nową kurtkę smutkiem. Chrzcę ją w ten sposób. Teraz jest moja.

Kaczki kwaczą współczująco, każą wracać do domu, zanim nadejdzie noc. W pociągu klarncista wypełnia przestrzeń między pasażerami dźwiękami muzyki. Nienawidzę go za to. Nie pozwala mi marzyć o Thursenie.

Następnego dnia znowu spóźniam się do szkoły. Nie dlatego, że zasnęłam, właściwie w ogóle już nie śpiam. Spóźniam się, bo każdy ruch to wielki wysiłek. Mam wrażenie, że moje ciuchy są z ołowiu. Jakbym nosiła gigantyczny ołowiany kombinezon ochronny, ale chroniący nie mnie, moich kolegów. Bo to ja promieniuje. Emanuję rozpaczą, bólem, zniszczeniem. Te promienie osłabiają wszystkich dokoła, a koniec końców zabijają ich tak jak mnie. Zauważam, że jest ze mną coraz gorzej. Moja zbroja się kruszy. Dzisiaj na lekcji krzychałam. Dawno mi się to nie zdarzyło. Pakuję książki i zeszyty i wychodzę z klasy. Nikt o nic nie pyta. Nauczyciele też nie.

Drzwi do mieszkania zdają się ważyć tonę. Odcinają dopływ powietrza, jakby prowadziły do skarbcza. Upuszczam podręczniki. Właściwie powinnam wziąć sobie coś do jedzenia, ale tu, w tym mieszkaniu, nie przełknę nawet kęsa. Muszę się stąd wydostać. Na klatce schodowej Lotti przygląda mi się niespokojnie. Wie, co się ze mną dzieje? Staram się ukryć uczucia, uśmiecham się, nie chcę jej przestraszyć. Z najwyższym wysiłkiem robię pogodną minę, póki nie dotrę do drzwi wejściowych.

Nie muszę się zastanawiać co dalej. Zawsze kieruję się w tę samą stronę. Przez kilkadziesiąt metrów idę wzdłuż wystaw sklepowych. Jest jeszcze wczesnie, na chodnikach jeszcze nie ma tłumów. Ludzka masa dopiero nadpłynie, przewidywalna jak powódź. Mam szczęście. Chłopak i jego pies siedzą na dawnym miejscu. Obiecuję sobie, że tym razem nie uda mu się tak łatwo zniknąć. Tym razem dowiem się, skąd przyszedł. Znajduję sobie punkt obserwacyjny za kioskiem, ukryta przed wzrokiem chłopaka. Otulam się kurtką, podciągam nogi i obserwuję, jak zerka na siatki ludzi, którzy wrzucają mu drobne do puszek. Pies ziewa, oblizuje się, prezentuje białe kły drapieznika. Głód nie daje mi spokoju, ale dzisiaj nie spuszcze ich z oczu. Zresztą, czym jest głód w porównaniu z uczuciem, które towarzyszy mi na co dzień? W porównaniu z tęsknotą za Thursenem. Ulica wypełnia się, nadchodzą uliczni grajkowie, przechodnie śmieją się, rozmawiając przez komórki, dzieci trzymające matki za ręce wrzeszczą. A ja siedzę. Zapada zmierzch. W końcu, wreszcie, chłopak wstaje. Idzie powoli, odrętwiały po długim siedzeniu na betonie, w stronę S-Bahnu. Pies drepcze obok. Zachowuję odstęp, ale nie spuszcza ich z oczu. Zaklinam, by jechali w stronę Wannsee.

Nadjeżdża pociąg w przeciwnym kierunku. Drzwi zamykają się, a oni nadal stoją na peronie. Wtedy nadjeżdża nasz pociąg. Wskakuję do wagonu w

ostatniej chwili, znikam w tłumie, siadam obok kobiety, która zasłania nas obie swoim rowerem. Zza kosza na kierownicy jestem niemal niewidoczna. Na stacji Nikolassee chłopak i pies wysiadają, ale rower kobiety zagradza mi wyjście. Kiedy w końcu wybiegam na peron, chłopaka już nie ma. Które wyjście? Wbiegam po schodach, rozglądam się. Nic nie widzę. I wtedy słyszę echo ich kroków w tunelu. Są. Serce wali mi jak oszalałe, nie tylko wskutek biegu. Przechodzą przez mostek nad rzeczką i idą wąską uliczką, która zakończy się na skrzyżowaniu. Dalej zaczyna się las, mój las, las, w którym ukrywa się Thursen. Niebo jest szare jak ci dwaj przede mną. Może dlatego ten chłopak tak bardzo przypomina mi Thursena. Jest od niego młodszy i drobniejszy, ale tak jak on pozbawiony kolorów.

Idą przez las, przedzierają się między drzewami, przez zarośla. Staram się iść za nimi. Odwracają się - chowam się za omszałym bukiem. Niechcący nadeptuję na suchą gałązkę. Z trzaskiem łamie się mi pod nogami. Słyszeli to?

Ściemnia się. Chmura zasłania księżyc i gwiazdy. Czy to aby dobry pomysł iść o tej porze przez las? Gdzieś w żołądku budzi się strach. W pobliżu coś szeleści w krzakach. Oburzona wiewiórka prychnęła głośno i wbiega na drzewo, drapiąc o korę pazurkami. Ma rację. Tu nie jest moje miejsce. Ale teraz już nie zawrócę. Thursen nie zjawi się z własnej woli. Jeśli chcę z nim porozmawiać, muszę go odnaleźć, muszę sprawdzić każdy trop, który może mnie zaprowadzić do niego i jego psa. Wychylam się zza pnia. Chłopak i pies znowu zniknęli. Biegnę dalej w tym samym kierunku, wśród cieni drzew. Jest tak ciemno, że nie widzę ścieżki, tylko czarne pnie po obu stronach i grafitowe niebo nad głową.

Nagle ziemia ucieka mi spod nóg, opada stromo. Nie zwracam na to uwagi, biegnę dalej. Kolejny krok i jeżyny chwytają mnie za nogawki. Unoszę ręce, potykam się, upadam na ściółkę. Leżę pokonana. Otaczają mnie wielkie ruchome cienie. Zwierzęta, nie ludzie. W tym lesie są dziki. Wiatr rozwiewa chmury i w blasku księżycy widzę, z czym mam do czynienia. To nie dziki. Te zwierzęta mają o wiele ostrzejsze kły.

## Rozdział 4

Znalazłam psy, których szukałam. Nie tylko dwa czy trzy, całą sforę. Czarne, kudłate, otaczają mnie jak duchy. Przyglądają mi się żółtymi wilczymi ślepiami. Nieruchome. Nawet las zamilkł, jakby wstrzymał oddech. Dzikie psy stoją nade mną. Leżę bez ruchu. Zaatakują? Jeśli się odezwę i zacznę uciekać, potraktują mnie jak zwierzynę, zapolują na mnie, a są ode mnie szybsze. Więc siedzę na ziemi i mam nadzieję. Słyszę, jak ściółka szeleści pod ich łapami, gdy pierwsze z nich podchodzą coraz bliżej, tak blisko, że niemal dotykają mnie nosami. Węszą, spięte, groźne. A potem zaczynają warczeć. Jeden po drugim. Gardłowo, głęboko. Jakby to ziemia wibrowała pod moimi dłońmi. Największy przysuwa kły do mojej twarzy. Jego oddech cuchnie padliną. Serce wali mi ze strachu.

Nie! Nieważne, czy na mnie zapolują, jeśli zacznę uciekać. Muszę się stąd wydostać. Nie wytrzymam ani sekundy dłużej ich jadowicie żółtych spojrzeń. Nie zniosę groźnego warkotu. Tego, że nie wiem, co zamierzają. Kiedy zaatakują. Widziałam zdjęcia ludzi zaatakowanych przez psy bojowe. Przez jednego psa. Tutaj jest ich osiem. A może dziewięć? Gdzie, do cholery, zniknął ten chłopak przed sklepu? Czemu nie pilnuje swoich psów? Czemu ich nie odwoła? Przesuwam się w tył. Nie spuszczam z oczu największego. Ściółka szeleści pode mną. Wycofuję się powolutku. Szukam po omacku. Moje dłonie trafiają na konar, chyba wbity w ziemię. Warkot narasta. Psy się jeżą. Spokojnie, pieski. Nie gryziemy. Zaraz sobie pójdę.

Nagle czuję wilgoć na lewej dłoni. Przerazona, cofam ją. Lepi się od krwi. Odwracam się. To nie korzeń. To żebro! Niemal białe, sterczy z rozszarpanego dzika. Ich łup. Najgorszy jest zapach. Już nie ściółka i ziemia. Grill, ale bez ognia. Surowe mięso.

Inny pies szturcha mnie łbem. Broni swego łupu. Turlam się po ściółce. Czy jeszcze mam szansę ucieczki? Dostrzegam kłujące krzewy jeżyn. Kłęczę. Podrywam się. Biegnę, ale największy pies rusza za mną, dopada mnie, zanim dobiegam do kolczastych krzewów. Łapie mnie za piętę.

- Nie! - krzyczę, znowu padając na ziemię. - Wbijam palce w ziemię, kruszę zeschnięte liście. - Ratunku!

Pies szarpie mnie. Usiłuję kopnąć go wolną nogą. Skowycze, gdy go dosięgam, ale nie puszcza. I wtedy, szybko jak cień, zjawia się drugi pies. Przewracam się na plecy, unoszę kolano, zasłaniam twarz ramionami. Drugi pies skacze nade mną. Wbijam mu kolano w bok. Szczerzy kły. Warczy, aż przechodzi mnie lodowaty dreszcz. Czyżby walczyły o łup? Ten wielki nadal trzyma mnie za piętę. Krwawię. Czyżby odpowiadał mu smak mojej krwi? Ze strachu w ogóle nie czuję bólu. I wtedy drobniejszy atakuje, ale nie mnie, tylko olbrzyma! Gryzie go w plecy. Ten puszcza mnie, odwraca się, patrzy na napastnika. Mniejszy znowu warczy. Rzucają się na siebie jednocześnie. Kąsają

się, turlają po ziemi, warcząc. Większy skowycze, zrywa się i ucieka. Mniejszy biegnie za nim, dotrzymuje mu kroku. Wróć?

Boję się oddychać. Pozostałe psy powarkują w napięciu. Wodzą wzrokiem ode mnie do dwóch walczących wilków i z powrotem. Zwierzęta otaczają mnie skulone. Groźne. Bezgłośnie. Ale nie atakują. Siedzę na ziemi i trzymam się za krwawiącą stopę, jakbym w ten sposób mogła ukoić ból. Rana jest płytka. Przykładam chusteczkę i naciągam skarpetkę.

Nie widzę żadnego człowieka.

Thursen. Musi mnie uratować. Już raz to zrobił. Przecież mnie obserwuje, prawda? Na pewno gdzieś tu jest. Niedaleko. W krzyku zawieram cały swój strach:

- Thursen!

Mój krzyk podziałał jak wiadro zimnej wody. Psy odskakują jak najdalej ode mnie, biegną. To moja szansa. Natychmiast zrywam się na nogi. Serce wali mi jak oszalałe. W którą stronę uciekać?

I wtedy zauważam, że nie mogę biec. Iść, kuśtykać na rannej nodze - owszem. Ale szybciej niż zdziczałe psy? Nie ma mowy.

- Thursen, pomocy! - wołam znowu, tak głośno, że aż boli mnie w płucach. I co z tego, że to bez sensu? Przecież zobaczyłabym go, gdyby tu był. Gdyby był w pobliżu, pokazałby się. Ale i tak lepiej mi, gdy wypowiadam jego imię. Czuję się, jakbym miała anioła stróża.

Jakbym nie była całkiem sama.

Ale nikt nie przyjdzie.

Znowu chrząknięcie, ale tym razem inne.

Już nie psa. Innego zwierzęcia.

Kroki. Ludzkie?

Czyżby jednak ktoś nadchodził? Ktokolwiek?

Jest za ciemno, nic nie widzę.

To przecież niemożliwe.

Thursen?

Przyszedł. Szczupły, wyprostowany, stoi wśród drzew. Wiatr bawi się połami jego płaszczka. Wychodzi z cienia, idzie w moją stronę. Promienie księżyca rozjaśniają antracytowe włosy. Wystarczy jedno jego spojrzenie spod uniesionych brwi i otaczające mnie psy wycofują się ze spuszczoneymi łbami. Drżą mi ręce. Serce bije coraz szybciej, jeszcze szybciej niż wcześniej ze strachu. Thursen. Obejmuje mnie. Chciałabym poczuć ciepło jego dłoni przez kurtkę. Jest blisko. W końcu. Patrzę na niego. Chcę zapamiętać każdy najmniejszy szczegół w jego twarzy. Kości policzkowe, usta, uniesione brwi. Jego oczy, burzowoszare, jak w moich snach. Ale teraz, na jawie, nie rozjaśnia ich radość z ponownego spotkania. No pewnie, że nie.

- Nie powinnaś była tu przychodzić, Luiso - mówi cicho.

Przełykam z trudem.

- Thursen? - Dziewczęcy głos, niemal krzyk. Dziewczyna stoi nieco dalej, przy krzaku bzu. Jakim cudem jej nie dostrzegłam? Gdzie była, gdy zaatakowały mnie psy? - To ty, Thursen? - Wpatruję się w niego wielkimi piwnymi oczami. Jakby wyrosły mu rogi. Nawet psy ucichły. Co się dzieje? Co z nim jest nie tak? Ma na sobie ten sam płaszcz co poprzednio.

- Wszystko w porządku, Sjóll - uspokaja dziewczynę. Nie odwraca się, nie odrywa dłoni od moich barków. Czy celowo stoi między mną a psami?

- Ty ją tu sprowadziłeś? - Niski głos za nami. Groźny. To już nie chłopak, to mężczyzna. Odwracam się. Facet w sfatygowanej skórzanej kurtce. Jego ubranie jest równie ciemne jak pozostałej dwójki. Obok niego stoi chudy chłopak sprzed sklepu. Przy Skórzanej Kurtce wydaje się niemal dzieckiem.

No jasne. Ukrywają się. Nie tylko Thursen. Oni wszyscy ukrywają się, mieszkają tu, na odludziu. Uważają, że Thursen zdradził ich kryjówkę?

- Thursen nie miał z tym nic wspólnego. Szłam za tym tutaj. - Wskazuję chłopaka. Patrzy na mnie spięty i w każdej chwili gotów do ucieczki jak pies Thursena.

- Musisz być bardziej ostrożny, Karr! - warczy mężczyzna, prawie tak samo jak psy przed chwilą.

- Daj mu spokój, Norrock - wtrąca się Thursen. - Później to wyjaśnimy. Najpierw ją odprowadzę.

Norrock kiwa głową, klepie Karra po ramieniu i odchodzi.

Thursen bez słowa bierze mnie za rękę, jakby miał do czynienia z marudnym dzieckiem. Wyrывam mu się energicznie. Można by pomyśleć, że go uderzyłam.

- Nie chcę wracać! Chcę z tobą porozmawiać! Do cholery, nie chcę, żebyś mnie odsyłał jak niegrzeczne dziecko!

Niewzruszony znowu chwyta mnie za rękę. Tym razem mocniej.

- Porozmawiamy innym razem. Nie tutaj. Nie teraz. Musisz odejść z obozu. - Odwraca się i prowadzi mnie w stronę, z której prawdopodobnie nadeszłam. Zupełnie straciłam orientację.

Nie poddaję się, walczę.

- Nie splawisz mnie. Nie możesz ot tak uratować komuś życie i potem zniknąć!

Zatrzymuje się. Drogę zagraadza nam pień. Thursen bez wysiłku wskakuje na kłodę i zeskakuje po drugiej stronie. Ja gramolę się niezdarnie na omszały pień. Zanim zeskoczę, łapię go za rękę. Z własnej woli, bo nie chcę przy lądowaniu potknąć się na nierównym podłożu.

- Obserwowałem cię - mówi, jakby to była odpowiedź.

- Wiem. Widziałam psa. Dlaczego wtedy do mnie nie podszedłeś?

Ciągnie mnie dalej.

- Byłem w pobliżu, pilnowałem cię. Wiedziałem, że wszystko jest w porządku.



Wyrywam rękę z jego uścisku. Nie pójdę dalej, póki nie uzyskam odpowiedzi. Ani kroku.

- Wszystko w porządku? Do cholery, niby jak wszystko może być w porządku, skoro nawet się do mnie nie odzywasz? Uciekałeś, chociaż cię wołałam! Na pewno słyszałeś. Już myślałam, że mi się przyśniłeś! Wiesz, jak długo cię szukałam?

Odwraca się w moją stronę.

- Och, Luiso... - wzdycha. Moja złość się ulatnia, ledwie słyszę jego ochryply głos. Bezradnie unosi ręce. Jak cienie muskają moją twarz, jakby chciał mnie dotknąć, ale nie wiedział, jak to zrobić. A potem opuszkami palców odgarnia mi kosmyk włosów z czoła. Czuję jego dotyk, wstrzymuję oddech i mam nadzieję, że niczego nie zauważył.

- Nie powinnaś była mnie szukać - mówi. - Nie powinnaś była tu przychodzić. Uwierz mi, tak byłoby lepiej.

Do jasnej cholery, skoro on i jego kumple mają sforę psów pilnujących obozu, czemu żaden z nich nie przechwycił mnie wcześniej?

- Wasze psy nie szczekają, gdy nadchodzą obcy? Trzeba było je lepiej wytresować! - Nie dodaję, jak bardzo przeraziło mnie spotkanie z nimi.

Nie wiadomo, dlaczego bawią go te słowa.

- Co?

- Wilki nie szczekają, tylko wyją.

- Jasne. - Jaja sobie robi? - Wilki? W Berlinie? Co za bzdura. Tu nie ma wilków!

- Skoro tak mówisz. - Wzrusza ramionami.

A już myślałam, że mogę mu zaufać! A może mogę? Patrzę mu w oczy. Odwzajemnia spojrzenie. Czyżby mówił prawdę?

- Nie żartujesz? To są prawdziwe wilki? - Upewniam się.

- Tak. - Ciągnie mnie dalej.

- Nie są niebezpieczne?

- Czasami bardzo. Kiwam głową.

- Przeszkodziłam im przy jedzeniu.

Wilki! Coś takiego trafiłoby do telewizji. Do prasy. Do internetu.

- Skoro tu naprawdę są wilki, dlaczego nikt o nich nie wie?

- Bo nikt ich nie szuka. I byłoby dobrze, gdyby tak zostało.

W końcu jest nieco jaśniej, dostrzegam żółtą poświatę za jednym z drzew. Thursen wyprowadza mnie na alejkę. Stoimy pod latarnią rozjaśniającą mrok.

- Posłuchaj mnie, Luiso. Muszę wracać, uspokoić pozostałych. Pogadamy innym razem.

- Jutro?

- Dobrze, jutro, skoro tak bardzo ci na tym zależy. Ale błagam, nie wchodź do obozu!

Znowu chce mnie splawić?

- A niby gdzie mam cię szukać, skoro nie w obozie?

Wzdycha. Zastanawia się przez chwilę, rozgląda się, jakby szukał znaków charakterystycznych. Wzrusza ramionami i mówi:

- Tutaj. O zachodzie słońca.

Kiwam głową. Thursenowi chyba się spieszy. Żadnego czułego gustu, żadnego pożegnania, nic z tych rzeczy, o których marzę. Bez słowa odwraca się na pięcie i po kilku szybkich krokach rozplywa się w ciemności. Słyszę w oddali, jak gdzieś w zaroślach trzaska gałązka pod jego ciężarem, i cały czas mam go przed oczami, jego twarz okoloną antracytowymi włosami, jego ciemne oczy, w których odbija się światło latarni.

W drodze do domu myślę tylko jednym - o naszym kolejnym spotkaniu. Pod latarnią. Światło w ciemności. Kostka nadal mnie boli tam, gdzie ugryzł mnie jeden z wilków Thursena. Właściwie powinnam oszczędzać nogę i nie iść taki kawał na dworzec, ale jakie mam wyjście? Niby kto miałby mnie wynieść z lasu?

W pociągu, układam nogę wyżej. Naprzeciwko mnie siedzi pogrążona w lekturze kobieta. Z oburzeniem zerka znad kryminału, gdy kładę nogę na siedzeniu obok niej. Zapewne wie, że bardzo spokojny żywot, skoro ubłocony but na sąsiednim siedzeniu to najgorsze, co może ujrzeć.

Otwieram mieszkanie swoim kluczem, po cichutku, może uda mi się dotrzeć do pokoju bez rozmowy z rodzicami. Bez wysłuchiwania nieistotnych dykteryjek, bez konieczności mówienia równie pustych słów. Jeszcze kilka kroków i widzę ich. Siedzą przy stole, pochyleni nad formularzem, który ojciec wypełnia. Mama na chwilę podnosi głowę, widzi mnie, jak kuśtykam przez pokój, upaprana ziemią, z liśćmi we włosach. Ma taką minę, jakby chciała zapytać, gdzie byłam, ale milczy. Najwyraźniej nie wyglądam na osobę, która ma coś miłego do powiedzenia. Nie, mamo, nie wszystko jest w porządku, nie wszystko się układa! Gniecie chusteczkę w dłoni, tak mocno, że aż bieleją jej kłykcie. Utykając coraz bardziej, człapię do kuchni. Wycieram buty o dywan. No, dawaj, mamo, zapytaj, gdzie byłam! Zdobądź się na odwagę! Wysłuchaj mnie! Ale ona już spuściła wzrok. Nalewam sobie soku pomarańczowego i celowo rozlewam połowę na kontuar. Krople rytmicznie spływają na podłogę, jak krew z rany.

Następnego dnia w szkole myślę tylko o Thursenie i zapamiętuję jeszcze mniej niż zwykle. Komu w głowie matematyka, skoro myśli się jedynie o wilczych ślepiach, zapachu lasu i krwawej padlinie? Pozwalam, by lekcje mijały, nic nie piszę, nie mówię, nie odpowiadam. Nikt się temu nie dziwi. Nie znają mnie od innej strony.

Po lekcjach wracam do domu. Moja torba jest lekka, niemal pusta, bo już właściwie nie zabieram podręczników. Na klatce schodowej siedzi Lotti i płacze. Obok niej - niedbale ciśnięty tornister. Mała obejmuje kolana rękami i patrzy na mnie przez łyzy. Chciałabym mieć takie małe śliczne łyżki. Jak letni deszcz. Moje łyzy nie płyną. Nie pozwalam im na to. Ale wiem na pewno, że nie

roniłabym takich perełek. Byłyby jak powódź. Jeśli popłyną, zaleją mnie, aż utonę.

- Co jest? - pytam i szukam w kieszeni chusteczki. Bierze ją, macha, czeka, aż chusteczka rozłoży się jak skrzydła motyla, wyciera łzy, wydmuchuje nos.

- Nie mam klucza.

- A nikogo nie ma w domu?

- Mama wyszła z Lili. - Ponownie wyciera nos prawie tak czerwony jak oczy.

- Poczekasz u nas? - Oszałam. Przecież sama nie mogę wytrzymać w tym mieszkaniu. Ale Lotti kiwa głową. No pewnie, na niej nasze mieszkanie robi zupełnie inne wrażenie. Nie wyczuwa pustki, która dławi mnie w gardle, dusi przy każdym oddechu. Ona nie dostrzega co chwilę tego, czego już nie ma. Nie wie, że brakuje tu drzwi do pokoju małego chłopca. Że dawniej w korytarzu wisiał kolorowy smok, rycerz w zbroi i żaba. W tym przedpokoju ściany są puste. Nikt nie potyka się o piłki.

Lotti wspina się na palce, by odwiesić różową kurteczkę. Wieszaki są za wysoko. Tego mieszkania nie urządzano z myślą o dzieciach.

- Jestem głodna - mówi Lotti, gdy pomagam jej odwiesić kurteczkę.

- Lubisz spaghetti? - pytam.

Kiwa głową i idzie za mną do kuchni. Wyjmuję z kredensu pudełko spaghetti. Lotti przygląda mi się, gdy mieszam makaron w garnku. Sos wrze, bulgocze jak żywy. Gdy wszystko już gotowe, siadamy razem przy kuchennym stole. Na nim dwa talerze - mój pusty. Jej widelec zgrzyta o porcelanę, gdy nawija kluski na sztuciec i wsuwa do buzi, aż pomidorowy sos ląduje na jej nosku. Mam wrażenie, że dopiero teraz, patrząc na nią, przypominam sobie, jak się je. Niepewnie nakładam sobie małą porcję. Grzebię widelcem w talerzu, w końcu wsuwam jedną kluskę do ust, przełykam. Jest oślizgła, jakbym jadła gotowane robaki.

Kiedy Lotti się najadła, sprzątam ze stołu, zmywam i tłumaczę jej, gdzie jest łazienka, żeby zmyła z buzi resztki sosu pomidorowego. Właściwie nie upaśćkała się aż tak bardzo. Mój braciszek też bardzo chętnie jadał spaghetti. Nakładał sobie ogromne ilości na widelec i potem nie mógł zmieścić go do buzi. Mama wtedy zawsze...

- Luisa? - woła Lotti od progu. - Pogramy w paletki?

Nie chcę.

- Przykro mi! - odpowiadam, ustawiając talerze na suszarce. - Nie mamy paetek ani piłeczki, ani nic.

- Nieprawda, macie!

Nie! Nasza stara gra? Żółto-zielone paletki z malutkim smokiem i zgnieciona piłeczka, którą zawsze za bardzo zносиło w lewo i ani ja, ani mój brat nigdy nie mogliśmy w nią trafić? Tutaj? Nie zagram nimi! Nie mogłabym tego

zrobić, jak gdyby nigdy nic, jakby nic się nie stało, odkąd ostatnio grałam nimi z bratem. Z mokrymi dłońmi, ze ścierką garści, wbiegam do przedpokoju.

I widzę, co trzyma w rączkach błyszczących od wody. Nowe paletki, jeszcze w plastikowym opakowaniu. Czerwona i niebieska. I nowiutka piłeczka niebudząca żadnych wspomnień.

- Jak chcesz - wzdycham. - Zagramy.

Chowam naczynia i wychodzimy na dwór. Zapomniałam już, jak się w to gra. Mija pół godziny i przypominam sobie. Lotti skręca się ze śmiechu, gdy zdyszana uganiam się za piłeczką. Nie trafiam prawie tak często jak ona. Pół godziny, aż w końcu zjawia się Anja, mama Lotti, z malutką Lili w chuście na biodrach.

Lotti zauważa je pierwsza.

- Mama! - woła. - Wreszcie! Zapomniałam kluczy. Najpierw siedziałam na schodach i płakałam, ale potem przyszła Luisa i zrobiła mi spaghetti! I dała dużo sosu! A potem grałyśmy w paletki.

Anja wita mnie, uśmiecha się, kiwa głową i idzie za nami po tornister Lotti.

- Byłam z Lili na szczepieniu - tłumaczy.

- Tak, Lotti mówiła.

- Wiesz, myślałam, że ma klucze. Miała szczęście, że wróciłaś wcześniej i zajęłaś się nią! Biedaczka nie poradziłaby sobie bez ciebie! Jestem ci bardzo wdzięczna!

- Nie ma sprawy, to żaden kłopot - mówię, żegnam się i zapewniam, że Lotti zawsze może do nas wpaść. A potem zamykam drzwi. Nie tłumaczę, że wróciłam wcześniej, bo urwałam się ze szkoły. Ze szczęściem nie ma to nic wspólnego. I to nie Lotti miała szczęście, tylko ja, bo uratowała mnie przed moim martwym, pustym mieszkaniem bez brata. Nie poradziłabym sobie bez niej!

Dzięki Lotti czas do zmierzchu nie dłuży mi się aż tak strasznie. To dzisiaj najważniejsza pora. Jedyna, która naprawdę się liczy. Chwila, gdy będzie na mnie czekał. No pewnie, światło dzienne nie pasuje do Thursena. Jestem na miejscu zdecydowanie za wcześnie. Nie mogłam się doczekać, aż znowu stanę pod latarnią, tam, gdzie wczoraj rozmawialiśmy. Tam, gdzie mnie wczoraj zostawił. Teraz znowu stoję tu sama. Mijają mnie spacerowicze. Biegacze. Miłośnicy nordic walking przebierają rytmicznie kijkami. Najpierw tylko stoję przy latarni, potem opieram się o nią. Ostatnie promienie słońca przebijają się przez chmury. Owijam się ciaśniej kurtką i siadam u stóp latarni. Chłopak w białych adidasach na grubej podeszwie mija mnie, ciągnąc na smyczy basseta. Pies przygląda mi się ze zdziwieniem. Gdyby był człowiekiem, uniósłby brwi w zdumieniu. Pokazuję mu język. Jego pan nie zwraca na mnie uwagi.

Słońce znika. Robi mi się zimno. Wstaję, rozglądam się uważnie na wszystkie strony. Przecież słońce już zaszło, prawda? Gdzie on jest? Dlaczego nie umówiliśmy się na konkretną godzinę? Czy on w ogóle ma zegarek?

Nie wytrzymuję z tęsknoty. Najchętniej puściłabym mimo uszu wszystkie przestrogi, wszystko, co mi powiedział, i pobiegła ile sił w nogach. W nadziei, że znowu uda mi się go odnaleźć. Ale w internecie przeczytałam trochę o wilkach. Najbardziej niebezpieczne są te, które nie boją się ludzi. A te w obozie nie bały się ani odrobinę, podchodziły bardzo blisko, za blisko jak na dzikie zwierzęta. Ból w pięcie, odczuwalny przy każdym kroku, przypomina, że największy mnie ugryzł. Thursen ma rację, nie mogę tam iść, nie mogę bez niego zbliżyć się do wilczego stada. Ale może mogłabym chociaż wyjść Thursenowi naprzeciw?

Ruszam. Nogi mi zdrętwiały od siedzenia w kucki. Jeszcze kilka kroków i przedzieram się przez zarośla, jestem w lesie. Odczepiam od kurtki pęd jeżyn. Z dala od latarni mój wzrok powoli przyzwyczaja się do półmroku. Widzę coraz wyraźniej. Z mroku wyłaniają się konkretne - drzewa, krzaki. I proszę, pod sosną siedzi nieruchomo wilk Thursena. Ten, którego zawsze uważałam za kudłatego czarnego psa. Skulony, przerażony, obserwuje mnie. Wie, że go zauważyłam, unosi łeb, wstaje. Biegnie w moją stronę, zmienia zdanie. Po chwili znika w kępie krzaków. Chcę iść za nim, ale warczy ostrzegawczo. To wilk, nie pies, przypominam sobie. Iść za nim mimo wszystko? A jeśli zaatakuje? Żałuję, że nie ma tu ze mną Thursena. Dlaczego mi się nie pokaże? Czy ukrywa się gdzieś tutaj, za jednym z pni? Opiera się o drzewo i mnie obserwuje? Jakiś ptak krzyczy nagle przeraźliwie. Przerażona, odwracam głowę. Czyżby to Thursen go spłoszył? Widzę kępę krzewów bzu, ale ptaka nie ma. Jak zareaguje wilk? On także zniknął. I wtedy, wreszcie, szybkimi krokami zbliża się Thursen. Poły jego płaszcz falują jak skrzydła kruka.

Z ulgą biegnę w jego stronę. Najchętniej rzuciłabym mu się w ramiona, ale po chwili zatrzymuję się speszona. Mrok skrywa moje płonące policzki. Co powiedzieć? Po prostu: cześć?

- Witaj, Luiso - słyszę jego łagodny, ochryply głos.

- Thursen! Już myślałam, że nie przyjdiesz! - wyrywa mi się. Tak bardzo się cieszę, że jednak tu jest.

- Przepraszam, nie mogłem wcześniej. - Ku mojemu zdumieniu to on mnie obejmuje. Powoli, z wahaniem, jakby sam nie wiedział, co robi, oplata mnie ramionami. Przesuwa dłonie na moją talię, przyciąga mnie do siebie, zmusza, bym zrobiła ten ostatni krok. Obejmuję go za szyję. Jego szorstki płaszcz drapie mnie w policzek, gdy przyciąga mnie do siebie. Jest taki ciepły. Na krótką, zdecydowanie za krótką chwilę zamykam oczy i wdycham jego leśny zapach.

A potem jest po wszystkim. Thursen wypuszcza mnie z objęć i mierzy wzrokiem. Wygląda, jakby szukał odpowiednich słów. Chciałabym móc opisać szarość jego oczu. Milczy. Moje serce bije coraz głośniejsze. Głośniejsze. Głośniejsze.

Pierwsza przerywam milczenie, idiotycznie zdyszana:

- I jak? Uspokoiliś pozostałych? Nikomu nie powiem o was i waszych wilkach, daję słowo! Więc w przyszłości możemy....

Thursen nie daje mi dokończyć. Przeczająco kręci głową.

- Nie będzie żadnej przyszłości.

- Co? - zacinam się. - Przecież dopiero co się poznaliśmy. Umówiłeś się ze mną tylko po to, żeby mi powiedzieć, że mam sobie iść?

- Luiso, posłuchaj mnie: nie jesteśmy dla ciebie odpowiedni.

- Ty nie jesteś dla mnie odpowiedni? Akurat ty? Przecież gdyby nie ty, już bym... No wiesz. - Nie mówić tego, lepiej nie. Nie przywoływać bólu w piersi nieprzemyślanymi słowami.

Znowu kręci głową.

- Musisz się trzymać od nas z daleka. Ode mnie także.

- Thursen, tęskniłam za tobą! Cały czas, od tamtego pierwszego spotkania.

- A myślisz, że ja nie? Ale mimo wszystko...

Co mam powiedzieć? Z wahaniem wyciągam rękę. Dotknęłabym jego policzka, gdyby akurat w tej chwili nie odwrócił głowy, by spojrzeć za siebie.

- Do cholery, Norrock, co ty tutaj robisz? - warczy.

Facet z obozowiska, ten w sfatygowanej skórzanej kurtce, nagle stoi koło nas. Choć nosi kowbojki, nie słyszałam, jak nadchodził. Do tego stopnia nie zwracałam na nic uwagi?

- Thursen pod latarnią! - mówi. - Thursen ucinający sobie pogawędki z przechodniami, gdy czeka na Luisę.

Thursen kładzie mi rękę na ramieniu.

- Zaraz wracam - mówi. Wiem, że te słowa skierowane są do Norrocka, choć cały czas patrzy mi w oczy.

- Wrócisz? Sam? - Norrock wciska dłonie w kieszenie skórzanej kurtki. - Myślałem, że ją przyprowadzisz do obozu!

- Nie - odpowiada Thursen. Cały czas patrzy na mnie. - Luisa nie pójdzie z nami.

- Dlaczego nie? Powiedziałeś nam, w jaki sposób ją poznałeś. Przecież to jedna z nas!

W końcu Thursen odwraca głowę.

- Spadaj, Norrock! - warczy. Cicho. Groźnie.

Norrock uśmiecha się krzywo.

- Skoro nalegasz, odejdę. Pewnie chcecie pożegnać się w spokoju.

Thursen kiwa głową.

- Pożegnać? - szepczę tak cicho, że tylko on mnie słyszy. - Nie, Thursen! Chyba nie mówisz poważnie? - Wodzę wzrokiem od niego do Norrocka.

Norrock przechwytuje moje spojrzenie. Puszczą do mnie oko.

- Naprawdę nie chcesz iść z nami, Luiso? Nie chcesz nas poznać? A może się boisz?

Owszem, boję się. Ale nie tak, żeby strach powstrzymał mnie przed pójściem za Thursenem.

- A wilki?

- Przecież Thursen nad nimi panuje!

- Dość tego! - Thursen robi krok w stronę Norrocka. Ten cofa się, choć jest od Thursena o pół głowy wyższy i dwa razy szerszy w barach.

Wzrusza ramionami.

- Twoja sprawa, stary. Będę w obozie. Nie spieszcie się - mówi i znika w zaroślach. Tym razem słyszę odgłos jego kroków i szelest gałęzi.

- Luisa... - zaczyna Thursen.

Znowu odwracam się do niego. Czuję smak gniewu na języku. Gniew i rozczarowanie na myśl, że decyduje za mnie. Jakbym nie miała własnej woli, własnego rozumu.

- Thursen, jeśli naprawdę za mną tęskniłeś, idę z tobą. Mam w nosie, czy jesteście dla mnie odpowiedni, czy nie, czy szuka was policja, czy uciekliście z domu, czy dlaczego w ogóle mieszkacie w lesie. Mam po dziurki w nosie tego, że inni zawsze wiedzą lepiej, co jest dla mnie dobre! A dobre jest zawsze to, co boli najbardziej!

- Luisa, posłuchaj, to nie tak, jak myślisz...

- Boże drogi, a co niby takiego może się stać, gdy pójdę z wami do obozu? Trafię do poprawczaka? Wilki znowu mnie zaatakują?

- Nie, skądże.

- No widzisz. Norrock też to powiedział. Wilki nic mi nie zrobią, jeśli przyjdę z tobą. A gdyby jednak zrobiło się niebezpiecznie, zawsze możesz mnie odesłać.

- Wtedy może już być za późno - mruczy, jakby do siebie. I po chwili: - Posłuchaj, Luiso!

- Nie, teraz ty posłuchaj. Nie pozwolę ci po raz drugi zniknąć z mojego życia!

Thursen podniósł gałązkę, wygina ją na wszystkie strony. I patrzy przy tym na mnie, jakby chciał z mojego czoła wyczytać, co robić.

- Thursen, proszę cię!

Gałązka łamie się mu w palcach. Odrzuca kawałki.

- No to chodź! - Wyciąga rękę. Tym razem nie przyciąga mnie do siebie. Tym razem trzyma mnie, żebym nie zabłądziła w ciemności. Żebyśmy znowu nie stracili się z oczu.

## Rozdział 5

Kiedy prowadzi mnie za rękę, droga wydaje się krótsza. Na bezchmurnym niebie świeci księżyc, oświetla drzewa. Nadchodzi pełnia. Nad naszymi głowami poluje nietoperz, szybko trzepocze skrzydłami. Thursen także go widzi. Zatrzymuje się, podnosi kamyczek, ciska w górę. Zafascynowana obserwuję, jak nietoperz atakuje. Zdaje sobie sprawę z pomyłki, dopiero wtedy gdy kamyk zaczyna opadać. Idziemy dalej. Gdzieś po lewej stronie chrząkają dziki. Przysuwam się do Thursena, ściskam jego dłoń. Uspokajająco odwzajemnia uścisk, a dziki wychodzą z zarośli. Dwie samice i z dziesięć warchlaków, pasiastych, ale wzrostem niemal dorównujących matkom. Idą gęsiego, z ryjami przy ziemi, i nie zwracają na nas uwagi. A potem ziemia znowu ucieka mi spod nóg, ale dzisiaj jestem już na to przygotowana, i znajdujemy się w obozie. Znowu jest tam ta dziewczyna. Sjóll. Szczupła, drobna, cała w czerni, stoi koło dębu. Ma buty za kostkę, rajstopy i króciutką spódniczkę, jak mroczna tancerka. Dziwny strój, według mnie, niezbyt odpowiedni do życia w lesie. Długie, gęste, kręcone włosy opadają aż na plecy czarnymi lokami. W jej uchu błyszczy gruby srebrny kolczyk, odbija się w nim światło księżyca. Kiwa głową na powitanie, obserwuje mnie bacznie, nie uśmiecha się, nie podchodzi bliżej. Siadamy z Thursenem na suchej ściółce, w samym środku wilczego obozowiska. Bojaźliwie łapię go za rękę, ale nie uciekam. Nie tym razem. Wilki kręcą się niecierpliwie. Po zachodzie słońca nadchodzi ich pora. Kudłate, żółtookie, wiercą się dokoła nas. Jeden z nich, z łysym plackiem na grzbiecie, obwąchuje mnie i wydaje się zadowolony. Żadnego warkotu. Żadnego szczyrzenia zębów. Najwyraźniej Thursen dał im sygnał, że nie stanowią zagrożenia, że nic im nie zrobię. Tak samo jak uspokoił swoich współtowarzyszy. Dziwne towarzystwo.

Strach można pokonać, mierząc się z tym, czego się boimy. Najlepiej zabiorę się do tego od razu.

- Mają jakieś imiona? Te wilki, znaczy się.

- Nie do końca. Ten jasny to Rawuhn. - Wyciągam do niego rękę, jakby to był zwyczajny pies, jakbym chciała, żeby mnie obwąchał. Podchodzi bliżej, nie zwraca uwagi na moją dłoń, koncentruje się na twarzy. Słyszę jego oddech, czuję go na skórze, tak blisko podszedł. Zielonożółte ślepia zaglądają mi w oczy. Nieruchomieję, sztywna ze strachu. Zaatakujecie czy nie? Czy Thursen naprawdę nad nimi panuje? Prostuje się, czujny, spięty. Rawuhn odwraca się do niego, patrzy mu w oczy, a potem szybkim ruchem przykładła zimny nos do mojego policzka.

- Spokój, Rawuhn! - warczy Thursen. Rawuhn spogląda na niego jeszcze raz, odwraca się i powoli oddala w ciemności. Znika w zaroślach. Serce wali mi jak młotem.



- Jezu, Thursen - szepczę, gdy w końcu odzyskuję głos. - Nie mogłeś nic zrobić? A gdyby mnie ugryzł?

Thursen swobodnie opiera się na łokciach.

- Atakujący wilk wygląda inaczej.

- A niby skąd tak dobrze o tym wiesz? - pytam i wycieram policzek rękawem kurtki.

Uśmiecha się pod nosem.

- Wiem. Bawi go to.

Ale otaczają nas inne wilki.

- A pozostałe? - Nie daję za wygraną.

- Tutaj jest Jerro. - Thursen wyciąga rękę. - Ten kudłaty to Lurnak, z tyłu siedzi Fath. Nie mam pojęcia, gdzie podziewa się Krestor. Może poszedł gdzieś z Karrem.

- Mieszkacie tutaj, w środku lasu, z wilkami?

- Tak.

- Tutaj? - Jesteśmy na polanie. Drzewa, gałęzie, trawa, liście. Ani śladu szałasów czy baraku. Nic, tylko las.

- Tak. Dlaczego pytasz? Podoba się nam tutaj. Mamy wszystko, czego trzeba. Mamy spokój.

Wyobrażałam to sobie raczej jak pole kempingowe.

- Nie macie nawet namiotu na wypadek deszczu? Śpiworów? Jest przecież zimno.

Koło nas przelatuje szyszka, trafia Thursena w ramię, spada na ściółkę. Kolejną łapie w locie.

- Co to ma być? - pytam, podążam za jego spojrzeniem; patrzę na Sjóll.

- Ostrzeżenie. - Thursen uśmiecha się i odrzuca szyszkę w jej kierunku. - Sjóll przypomina mi, żebym nie powiedział ci za dużo.

- Więc co, nie mogę się nawet dowiedzieć, dlaczego nie macie namiotów? - Ja także podnoszę szyszkę i rzucam, ale nie robię tego tak zwinnie jak on.

- Niepotrzebne nam namioty.

- Ale dlaczego nie?

- Luiso, daj spokój. To tutaj - obejmuje wzrokiem skrawek lasu, który nazywają obozem - funkcjonuje tylko wtedy, gdy zatrzymujemy nasze tajemnice dla siebie.

- A więc macie coś do ukrycia? - Ten rzut wyszedł mi lepiej. Trafiam w gruby jesion.

- Każdy ma. Ty nie? - Thursen rzuca żołędziem, trafia nieco wyżej niż ja.

- Sjóll wie o wszystkim, ale mnie nie chcesz niczego powiedzieć. - Podnoszę dwa żołędzie. Z taką siłą rzucam nimi, że odbijają się od pnia i opadają na leśne poszycie.

- Luiso, proszę! - Thursen wyjmuję mi z dłoni kolejne żołędzie.

- A kto może poznać waszą tajemnicę?

- Ten, kto sam stanie się częścią naszego.... - urywa, przekłada żołądź z ręki do ręki - stowarzyszenia.

- Norrock twierdzi, że jestem jedną z was.

Thursen ukrywa twarz w dłoniach, jakby nagle ogarnęło go zmęczenie.

- Norrock nie ma o niczym pojęcia. Nie odpuszczam.

- A jednak skądś mu to przyszło do głowy. Dlaczego to powiedział?

Thursen nie spieszy się z odpowiedzią. Ciska żołądź, przecinają powietrze szerokim łukiem. Podnosi kilka suchych liści, przygląda się im, jakby szukał w nich odpowiedzi. Kruszy je, rzuca na jesienny wiatr, patrzy, jak opadają powoli.

- Thursen?

- Mam ci coś powiedzieć? Dobrze: wszyscy byliśmy kiedyś tam, gdzie ty. Żałuję, że na mnie nie patrzy.

- Czyli gdzie?

- W ślepym zaułku. Tam, gdzie marzy się o jednym - żeby to wszystko wreszcie dobiegło końca. Nieważne, w jaki sposób. - Rozdziera kolejny liść, patrzy, jak jego kawałki opadają na ziemię.

Wiem, co ma na myśli. Rozpacz, która wtedy, tam na wieży, kazała mi skoczyć, nadal czai się w pobliżu. I nagle znowu czuję zapach truskawek, bitej śmietany i wosku. Te koszmarnie urodziny, w które chciałam odebrać sobie życie. Wiem, że ten ból nadal czai się w mojej duszy, gotowy w każdej chwili zaatakować i zamrozić mnie żywcem. A mój strach, ból i tęsknota zawsze będą miały twarz mojego konającego brata. Jak wtedy, gdy leżał w szpitalu, taki blady. A mimo to aż do ostatniej chwili wierzyliśmy, że mu się uda, że jakoś z tego wyjdzie. Łzy. Nie wiedziałam, że ból jest tak blisko, tak silny.

Do tej chwili byłam przekonana, że nikt inny nie czuje tego co ja. Nikt a nikt. Bo niby komu oprócz mnie umarł braciszek? A teraz Thursen wmawia mi, że oni wszyscy przeżyli coś podobnego? Rozglądam się. Napotykam ich spojrzenia i widzę, jak zerkają na siebie ukradkiem. Szukam w ich twarzach oznak bólu, który tak dobrze znam.

I dostrzegam jedynie ciekawość.

- Sjóll też? - upewniam się. Spoglądam na postać przy jesionie. Jest tam jak mroczny cień, już nie sama, pogrążona w rozmowie z pozostałymi.

- Tak, Luiso. Sjóll też.

- I... - Widzę, jak rozmawiają, śmieją się. Norrock klepie Karra po ramieniu. - Norrock i Karr też?

- Też.

- I... ty?

- Tak, Luiso, my wszyscy. - Zdaje się obejmować wszystkich wyciągniętym ramieniem. Ogarniać wszystkich, których domem jest ta leśna polana.

I nagle wszystko jest jasne. Nagle wiem, dlaczego nie patrzy mi w oczy. To ścierna. Nabija się ze mnie. Robi mi się zimno. Mało brakowało, a dałabym

się nabrać. Już prawie mu uwierzyłam. Ale stowarzyszenie znużonych życiem? Załamani, którzy beztrąsko grają w karty - bo to właśnie robią Norrock, Karr i Sjóll pod drzewem? I od niechętnia głaszczą wilki.

- Robisz sobie ze mnie jaja - syczę. Chcę odejść jak najdalej stąd. I jak najszybciej, żeby więcej się nie nabijał z mojej rozpacz. I to akurat on! Wściekła, wstaję, szeroko rozstawiam nogi, wbijam stopy w podłogę. Mówię coraz głośniej. - Takie kity możesz wciskać swojej babci! Niemożliwe, żeby załamany człowiek zaszył się w lesie i nagle żył długo i szczęśliwie!

Thursen także wstaje. Uderzam go w klatkę piersiową, odpycham z całej siły.

Zatacza się, ale nie broni.

- To idź! - woła. - Wracaj do domu! Sama chciałaś tu przyjść. Mówiłem, żebyś dała temu spokój. No proszę, uciekaj!

- A żebyś wiedział! - Zaczynam iść. Muszę przejść koło grupki grającej w karty. - I wy niby wiecie, co to za uczucie, kiedy człowiek chce się zabić? Akurat wy? - Spoglądam na nich z góry.

- Thursen nie kłamie - rzuca Sjóll przez ramię.

- Co? - Zatrzymuję się na skraju polany, blisko jesionu. Na pewno nie mówi poważnie.

- Thursen nie kłamie - powtarza Sjóll, składa karty, wstaje, podchodzi do mnie. - Po prostu po nas tego nie widzisz.

Nie rozumiem.

- Ale skoro byliście tacy załamani, jakim cudem udało się wam to ukryć? Sjóll przekrzywia głowę.

- Po prostu znaleźliśmy sposób, by uporać się z rozpaczą.

- Teraz jest o wiele łatwiej - dorzuca Norrock.

Łatwiej! Oddałabym wszystko, żeby wiedzieć, co to za sposób. Oddałabym duszę diabłu, żeby tego spróbować.

- Co to za sposób? - Mówię piskliwie, głośno. Z trudem, bo nagle rozpacz ściska mi gardło.

- Zapominamy - mówi Norrock i wzrusza ramionami. Jego głos wydaje się nieskończenie głęboki. - Po pewnym czasie wydaje ci się, że nic się nie stało.

- Tak po prostu?

- Nie, nie tak po prostu. Poza tym, Luiso, to nie jest droga dla ciebie. - Thursen obejmuje mnie w talii. Odrobinę mocno, jakby chciał mnie przed czymś powstrzymać, uchronić, sama już nie wiem. Wiem tylko, że dobrze jest czuć jego bliskość. Nie chce z nim teraz się kłócić.

- Zresztą ja nie chcę zapomnieć - mruczę pod nosem, jakby do siebie. Teraz prawie mi wstyd. Przez tych kilka chwil, gdy Thursen był tak blisko, właściwie w ogóle nie myślałam o moim braciszku. A przecież mówi się, że zmarli odchodzą naprawdę, dopiero wtedy gdy o nich nie pamiętamy. Kiedy się o nich myśli, w pewnym sensie nadal są wśród nas.

Thursen kiwa głową.

- Chcesz pogadać? - pyta.

Tak długo milczałam. Ukrywałam się za gniewem i złością, uciekałam przed rozpaczą, bo obawiałam się, że okaże się silniejsza ode mnie. Że całkowicie pochłonie moją duszę i zostanie ze mnie tylko pusta skorupa. Nie mogę z nikim o tym rozmawiać, ale z Thursenem może się uda. Będzie pilnował, żebym się nie zatraciła. Powstrzyma mnie jak wtedy, na wieży.

Sjóll pyta dziwnym, obcym głosem:

- Dlaczego to robisz, Thursen? Warczy.

- Daj mi spokój, Sjóll!

- Postanowiliśmy, że o tym nie rozmawiamy! - przypomina mu. Mierzy mnie wściekłym spojrzeniem czarnych oczu, jak zwierzę. Najpierw mnie, potem Thursena.

Spokojnie wytrzymuje jej wzrok.

- Wiem o tym. Mimo to uważam, że to ważne. Dla Luisy.

- Chyba wiesz, co robisz. - Sjóll odwraca się na pięcie i odchodzi. W jej kolczyku odbija się blask księżyca.

Cały czas patrzę na Thursena. W jego szare oczy. Są jak chmury skrywające słońce. Kątem oka widzę, jak Norrock, Sjóll i Karr, z kartami dłoniach i wilkami u boku, znikają pośród drzew. Mam wrażenie, że uciekają, że boją się, że czymś się zarażą. Ale czym? Dokąd idą?

- Nie wytrzymują czegoś takiego.

Niedobrze mi. Może Sjóll ma rację, może nie powinnam obciążać Thursena moimi problemami. Może moja rozpacz sprawi mu ból.

- A ty?

- Ja spróbuję. - Nie daje mi czasu do namysłu. Siada ponownie i nie czeka, aż zajmę miejsce koło niego. - Opowiadaj. Dlaczego wtedy chciałaś skoczyć?

Wtedy. A mnie się wydaje, że to było... kiedy właściwie? Bardzo niedawno czy rok temu?

- Wiesz, to były moje urodziny.

- Urodziny chyba się świętuje?

- Do tej pory tak było. Obchodziłam je z rodzicami i młodszym bratem, w Hamburgu. Mieliśmy tam domek z ogródkiem.

- Tęsknisz za domem?

- Tak. Ale nie o to chodzi.

- A o co?

Nie odpowiadam. Powtarza pytanie. Cichutko. Opuszkami palców głaszczę mnie po policzku.

- O co, Luiso?

- Mój młodszy brat miał raka. Tak dzielnie walczył! - Przełykam ślinę, nabieram powietrza i mówię dalej. - Umarł w maju. A teraz już go nie ma! - Czuję, jak łzy wzbierają we mnie, dławią w gardle, a ja nic nie mogę na to poradzić. Thursen przyciąga mnie do siebie. Ukrywam twarz na jego ramieniu.

Wdycham jego korzenny zapach, aromat ściółki i ziemi. A kiedy mnie tak obejmuje, czuję, że on drży jeszcze bardziej ode mnie. Czyżby wbrew temu, co mówił, nie zdołał do końca zapomnieć swego bólu?

- Masz rodzeństwo? - pytam, żeby zaczerpnąć tchu, żeby choć przez chwilę myśleć o czymś innym, zanim powiem coś więcej.

- Nie wiem - odpowiada szeptem.

- Zrozum, nie ma nawet miejsca, w którym mogłabym go oplakiwać! Nie ma grobu, nic! Wkrótce po jego śmierci przenieśliśmy się do Berlina... a on został tam.

Thursen wyjmuję z kieszeni płaszcz paczkę chusteczek, podaje mi. Drżą mu palce, jest jeszcze bledszy. Przez chwilę siedzi w milczeniu, gdy ocieram łzy kolejnymi chusteczkami. Jakby biło we mnie gorące źródło. Omiata wierzchołki drzew ponurym spojrzeniem.

Nagle, jakby w tej chwili zrozumiał tajemnicę lasu, jego dłoń ponownie wędruje do kieszeni. Wyjmuję scyzoryk, jakiego od dawna nie widziałam. Mój tata miał taki sam, tylko czerwony. Ten jest czarny.

Płynny ruch i Thursen stoi.

- Jak miał na imię twój brat? - pyta.

- Fabi. - Przełykam ślinę. - Fabian.

- Chodź. - Podaje mi rękę. Już nie drży. Pomaga mi wstać. - Poszukamy mu drzewa.

Powoli, krok po kroku przemierzamy las. Błądzą dłońmi po jesionach, dębach i sosnach, kreślę palcami znaki na szorstkiej korze. Thursen kręci głową.

- Musimy znaleźć drzewo o gładszym pniu.

Znajduję młody buk. Już nie Pęd, ale jeszcze nie drzewo. Jak mój brat. Thursen rzeźbi w korze jego imię. Starannie, litera po literze, jak na cześć zaginionego wojownika. Powietrze przesycą korzenny zapach żywicy. Śledzę wzrokiem jego ruchy, gdy zwinnie, starannie ryje litery. Do tej pory nie zwróciłam uwagi, że jest leworęczny. Bieleją mu kłykcie, gdy zaciska dłoń na scyzoryku. Odsuwa się. Teraz mam gdzie oplakiwać brata.

- Niepotrzebny ci grób. Teraz możesz przychodzić tu gdy chcesz o nim pomyśleć - mówi i ogrzewa mnie spojrzeniem. Widzę go niewyraźnie, bo znowu płaczę. Szlocham mu w ramię, aż jego płaszcz ciemnieje od moich łez. Pozwala na to. Obejmuje mnie. Nie wiem, kiedy ostatnio czułam taką wdzięczność. Żałuję tylko, że rodzice ani razu nie spróbowali nawet dać mi tego co Thursen, bez wielkich słów.

Wracam tam, to jasne. Następnego dnia i kolejnego, i tak przez cały tydzień. Przynoszę kwiaty, układam je pod drzewem, któregoś dnia zapalam też znicz. Ogień migocze czerwono wśród gałęzi, a ja siedzę u boku Thursena i opowiadam o wszystkim i o niczym. Rozmawiam z Thursenem i ze Sjóll, czasami także z Norrockiem i Karrem. I z wilkami. To niemi rozmówcy. Otaczają nas ciekawym kręgiem. Zawsze są w pobliżu.

Dzisiaj przyniosłam dalie. Kolorowy bukiet. Pierwsze kroki, jak zawsze, kieruję pod buk Fabiana. Witam drzewo jak starego przyjaciela, jakbym wierzyła, że przekaże ciepłe słowa mojemu braciszce gdzieś tam, w zaświatach, do których nie mam wstępu. Podchodzi Sjóll, z przekrzywioną głową obserwuje, jak układam kwiaty pod drzewem, na szeleszczącej ściółce.

- Znowu w żałobie? - zagaduje.

- Tak. Teraz mi w końcu wolno. - Wycieram nos. Znowu za dużo myślałam o Fabianie. Czasami, zamiast z oczu, leci mi z nosa. - Nie masz pojęcia, jaka jestem Thursenowi wdzięczna za ten pomysł z drzewem.

- Tak, Thursen jest fajny. - Urywa, bawi się ciemnym kosmykiem. Dzisiaj uczesała się w koński ogon, przewiązała niesforne włosy sznurówką.

- Co jest?

- Wolalabym po prostu, żebyś dała sobie z tym spokój. Żebyś nie kładła tu kwiatów, nie pociągała nosem, nie żaliła się z zapłakanymi oczami Thursenowi. Chcemy zapomnieć, a ty wszystko wywlekasz na wierzch. Nikomu z nas nie robi to dobrze.

- Przykro mi - odpowiadam.

- Wiesz, jesteś jak ktoś, kto w kółko rozdrapuje strupy. I rana zaognia się, zamiast goić.

- U mnie nie ma co mówić o gojeniu, rana jest jeszcze za świeża. A Thursen może mi sam powiedzieć, kiedy będzie miał dosyć. Po to zrobił mi drzewo żałobne, żebym mogła się wypłakać, prawda?

- Thursen? - Sjóll się śmieje. - Dla ciebie przeszedłby po rozżarzonych węglach, gdyby od tego miałabyś poczuć się lepiej!

- Bzdura!

- Chyba sama nie wiesz, ile dla niego znaczysz. - Zanim zdążę się spieszyć, Sjóll mówi dalej: - Po prostu byłoby fajnie, gdybyś czasem pomyślała o pozostałych. Przecież wszyscy widzimy, jak szłochasz.

- Przepraszam - mruczę. A potem, może dlatego że słowa znaczą tak niewiele, podnoszę jeden z kwiatów dla Fabiana i wsuwam w czarne włosy Sjóll. Niema prośba o przebaczenie, że zakłócam im spokój, wypracowany z takim trudem. Kwiat czerwieni się w jej włosach jak żar w palenisku.

Śmieje się.

- W porządku. Ale nie przesadzaj.

- Postaram się. Nie wiesz, gdzie jest Thursen?

- W lesie. - Waha się, bawi się srebrnym kolczykiem. - Poszedł po wodę. Chyba.

Z lasu dobiega ochryple ujadanie. Słysząc w nim emocje. Coś się stało? To ostrzeżenie?

- Co to ma znaczyć?

- Wilki są niespokojne. Pewnie wywęszyły sarnę. Chcą zapolować. - Odwraca się na pięcie. - Przyślę ci Thursena - woła i biegnie za wilkami. Znika w lesie, jakby stanowiła jego część.

Wycie. Ujadanie. Po chwili od strony lasu słyszę głos Thursena.

- Sjóll mówiła, że jesteś - mówi i wynurza się z zarośli.

- Tak. - Widzę, że idzie z pustymi rękami. - Mówiła, że poszedłeś po wodę.

- Po wodę? Nie, skądże. - Obejmuje mnie. - A co, chcesz wstawić do niej kwiaty?

Obejmuję go, opieram mu głowę na ramieniu.

- Nie, nie chcę wody. - Nie chcę nic, tylko jego. Thursen cicho śmieje mi się do ucha.

- Więc wszystko w porządku. - Całuje mnie w policzek. Nagle unosi głowę. Nasłuchuje. Wydaje mi się, że gdzieś w oddali słyszałam wycie.

- Polują? - pytam.

- Hm. Ale to nieważne. - Siada na stercie ściółki i wskazuje miejsce obok siebie. - Co dzisiaj robiłaś?

Zajmuję miejsce obok niego i myślę o tym, co obiecałam Sjóll. Żadnego jęczenia. Żadnych smutnych opowieści. Nie opowiem na przykład, jak wczoraj wieczorem znalazłam starą kartę pamięci z aparatu fotograficznego. Były na niej zdjęcia mojego brata. Z naszych ostatnich wspólnych wakacji. Zamiast tego mówię:

- Byłam w szkole. Na chemii mieliśmy przeprowadzić doświadczenie, ale palnik Bunsena nie działał i musieliśmy tylko przeczytać opis w podręczniku. Bez sensu.

- Mhm. Przykro mi. - Wstaje, odchodzi kilka kroków dalej, podnosi z ziemi gałązkę, wraca do mnie.

Odgłosy polowania są coraz bliżej. Słyszę ochryple wycie, dokoła nas trzaskają gałęzie w zaroślach. Oczy Thursena błyszczą.

- Myślisz, że poradzą sobie bez ciebie? - Staram się odwrócić jego uwagę. Nie odrywa wzroku od ściany lasu. W ogóle mnie nie słyszał.

- Thursen?

Odwraca głowę w moją stronę, uśmiecha się lekko.

- Mów dalej. Słucham cię!

- Kupiłam dzisiaj dalie, w tej małej kwiaciarni na dworcu. Facet przede mną wziął dwadzieścia pięć róż.

Thursen łamie gałązkę na drobne kawałeczki. Trzask, trzask, trzask. Myślam jest daleko stąd. W końcu nieruchomieje i patrzy na mnie.

- Co powiedziałaś?

- Nieważne. Nie chcesz przejść się do lasu i zobaczyć, czy wilki wam nie uciekły?

Z lasu wybiega Sjóll. Zbliża się do nas. Zdyszana, pochyla się nad ramieniem Thursena.

- Już po polowaniu! - szepcze mu do ucha tak głośno, że ja także to słyszę. - Bez ciebie.

Thursen wciąga powietrze nosem, wstrzymuje je, jakby coś wyczuwał.

- Sarna?

Sjóll potwierdza ruchem głowy.

- Chcesz zobaczyć?

Przez chwilę patrzy na nią, waha się. A potem uśmiecha się do mnie.

- Nie. Zostanę z Luisą.

- No dobrze, przyjdiesz później. - Puszcza do mnie oko, wyjmuję sobie kwiat z włosów, wsuwa mi za ucho. - Do zobaczenia! - woła i znika wśród drzew.

- Nie musisz ze mną siedzieć.

Oczekuję, że odprowadzi ją wzrokiem, jak ja. On jednak cały czas patrzy na mnie.

- Owszem, muszę. Przychodzisz tutaj, a ja nawet cię nie słucham.

Rysuję coś patykiem na ziemi.

- To nie szkodzi.

- Tęskniłem za tobą. Bez ciebie nagle las wydaje się pusty. - Przysuwa się bliżej.

Nagle uśmiecham się pod nosem.

- Ale twoje wilki polują.

- No tak. - Wyjmuje mi patyk z dłoni, bierze za rękę. - Ale poza tym...

Nagle robi mi się ciepło, jakby wypełniała mnie jego siła. Chciałabym, żeby już zawsze trzymał mnie za rękę. Wzmaga uścisk.

- Teraz przynajmniej mam pewność, że naprawdę tu jesteś.

Uśmiecham się pod nosem. Zawsze, ilekroć dokąś mnie prowadzi, trzyma mnie za rękę.

- Tak bardzo się boisz, że się zgubię?

- Raczej że nie wrócisz. - Uśmiecha się krzywo, jakby nabijał się z samego siebie.

Staram się podchwycić jego lekki ton. Fakt, że cały czas trzyma mnie za rękę, dodaje mi odwagi.

- Sam mówisz, że powinnam trzymać się z daleka. Przygląda mi się niepewnie, jakby szukał czegoś w moich oczach.

- Tak byłoby rozsądniej - mówi cicho, z namysłem. Kreśli kciukiem kółeczka na mojej dłoni. Przez chwilę obawiam się, że zaraz wstanie i odejdzie, że znowu powie, że mam nie wracać. - Ale i tak się tego boję - dodaje szeptem. Z jego spojrzenia nagle znika dawna twardość, jego usta uśmiechają się miękko. Znowu mogę oddychać. Wyciąga rękę, dotyka dłonią mojego policzka. Czuję szorstkość jego ciepłej dłoni, gdy delikatnie gładzi moją skórę. Przytrzymuje mnie, pochyla się nade mną, aż niemal stykamy się czołami. Serce wali mi w piersi, jakby chciało wyskoczyć mu naprzeciw. Jesteśmy tak blisko. Thursen pachnie korzennie, zielono, jak leśny bożek. Czuję na skórze jego ciepły oddech. Muska ustami mój policzek. Dotyka kącika moich ust. Z prawej strony. Z lewej. I wreszcie czuję go na ustach. Łaskoczą mnie, płoną pod jego dotykiem. Wszelkie ponure, mroczne myśli rozwiewają się, stają się lekką



mgiełką, którą rozwiewa wiatr. Już nie myślę, mam w głowie jedno: musi mnie pocałować jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze... jego miękkie usta sprawiają, że przeszywa mnie rozkoszny dreszcz. Obejmuję go za szyję, zamykam oczy i pogrążam się w pocałunku.

Tysiąc lat później mrugam niespokojnie. Nadal tam jest, prawdziwy, rzeczywisty, nie we śnie. Przygląda mi się z rozbawieniem. Czy aż tak widać, jak bardzo mi się to podobało?

Trąca mnie nosem.

- Już od dawna miałem na to ochotę - mówi. Wzdycham, opieram się czołem o jego pierś.

- Już wtedy, na wieży?

- Hm. - Całuje mnie znowu, w policzek. - I później, kiedy nagle zjawiłaś się w obozie i mnie zawołałaś.

- Akurat wtedy? - Przyglądam mu się zdumiona. - Myślałam, że byłeś wściekły, że was znalazłam?

Kiwa głową.

- To też.

Uśmiecham się. Moja dłoń, do tej pory na jego szyi, zsuwa się niżej, na koszulę.

- Więc dlaczego chciałeś mnie wtedy pocałować? Robi to teraz.

- Może dlatego, że nikt inny tak bardzo mnie nie szukał. A może po prostu dlatego, że bardzo mi się spodobałaś. Jesteś ładna, wiesz?

Thursen bawi się moimi włosami, wyjmując kwiat, który wsunęła w nie Sjóll, obraca go w palcach i uśmiecha się do mnie. Niemożliwe, żeby to był ten sam kwiat, który jej dałam. Tamten był czerwony, ten jest czarny jak noc, jak włosy Sjóll.

Następnego dnia najchętniej od razu pobiegłabym do wilków, ale ledwie wracam ze szkoły, rozlega się dzwonek do drzwi. Otwieram - w progu stoi Lotti i bez słowa, zapłakana, wyciąga w moją stronę pokreślony na czerwono zeszyt do matematyki. Wystarczy jedno spojrzenie, a wszystko rozumiem. Przekreśliła wszystkie rozwiązania, nic jej nie wychodziło. Ostatnie skreślenie zostawiło wgłębienie na kartce. I teraz mała nie wie, co dalej. Czytam zadanie i jej próby rozwiązania i od razu wiem, w czym rzecz. Szkoda, że życie nie jest tak proste jak matematyka w podstawówce.

- Wejdz - mówię. Wchodzi. Idę pierwsza, waham się przez chwilę i wchodzę do mojego pokoju. W drodze wyjątku. Właściwie to teren zakazany, moje schronienie, ostatni zakątek, który należy tylko do mnie. Nikt nie ma tu wstępu, ale do matematyki potrzebne jest biurko.

- To twój pokój? - pyta Lotti. Robi kilka kroków, w zadumie zatrzymuje się przed regałem z jasnego drewna, staje przed nim jak w muzeum, w którym milczeniu podziwia się eksponaty. Nie ma tu lalek i pluszaków. Jedna półka jest pusta. Nie mam zbyt wielu książek. Te dla dzieci i z bajkami oddałam bratu.

Jeszcze przed przeprowadzką trafiły na śmietnik, jak wszystko, co należało do Fabiana. Teraz na półkach stoją tylko szkolne lektury, kilka powieści, niewiele płyt CD. Powinnam wytrzeć kurze, w kątach gromadzą się szare kłęby. Jak ten czas szybko leci, wydawało mi się, że dopiero co tu zamieszkaliśmy.

- Tak, to mój pokój. - Szukam w szafie papieru, przypominam sobie, że w tym mieszkaniu trzymam go w biurku.

- I wszystkie meble są nowe? - Lotti jest zdziwiona.

- Moi rodzice nie chcieli zabierać starych. - Zbyt wiele wspomnień. - Kupiliśmy je już po przeprowadzce. - Nic dziwnego, że nie mogę niczego znaleźć.

- Łóżko też? - Lotti gładzi tęczową patchworkową narzutę, którą uszyła mi ciotka.

- Narzuta jest stara, chciałam, żeby choć trochę przypominała mi moje stare łóżko. - I choć odrobinę pachniała domem, dodaję w myślach. Obce zapachy to najgorsze, gdy człowiek czuje się samotny.

- Nie tęsknisz za domem? - pyta. Zanim zdążę odpowiedzieć, dostrzega zdjęcie nad łóżkiem. - A kto to?

To jedno ze zdjęć z wakacji, które zachowały się na karcie pamięci. Niezbyt wyraźne, jakby zasnuwane mgłą, bo drukowałam je w domu, a kończył mi się toner w drukarce. Ale jest to zdjęcie tak osobiste, że czułabym się dziwnie, odbierając je od fotografa. Odkąd wisi nad moim łóżkiem w czarnych ramkach, rodzice z jeszcze większą niechęcią wchodzą do mojego pokoju. Mówią, że nie mogą na to patrzeć. Odwracają szybko głowę, jakby wstydzić się, że akurat ja, ich córka, lekceważę zasadę, najświętszą zasadę, by zachowywać się, jak gdyby nigdy nic. Ale przecież to był ktoś, to był on.

- To Fabian, mój brat.

Lotti patrzy na jego kręcone włosy, jasne jak moje, na długie rzęsy i oczy błękitne jak morze w Szwecji, na wakacjach, i na uśmiechnięte usta. Lotti także się uśmiecha.

- Fajnie wyglądał. - Wyglądał, mówi. Czas przeszły. A więc wie. - Mama mówiła, że już go nie ma.

- Nie, że już go nie ma. On nie żyje - poprawiam.

Lotti patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym pomyliła się przy dodawaniu dwóch do dwóch.

- Więc już go nie ma, prawda? Szkoda! Moglibyśmy się razem bawić. W berka, w chowanego...

No jasne, wszystko jest takie proste. Kiwam głową. Jej brakuje tylko nieznanego towarzysza zabaw. Piecze mnie w nosie i pod powiekami. Wiem dokładnie, gdzie mam chusteczki. Wyjmuję je z szuflady przy łóżku, wycieram nos.

Lotti tymczasem rozsiadła się na krześle przy biurku, otworzyła zeszyt. Odejmowanie pisemne. Lotti przepisuje zadanie i zaczynamy od początku. Rozwiązujemy zadanie po zadaniu. To wcale nie jest trudne, jeśli podejść do

tę powoli i spokojnie. Sięgając po zeszyt, niechcący dotykam jej włosów. Są miękkie i delikatne jak u pluszowej zabawki. Chciałabym je pogłaskać, choć raz, delikatnie. Często głaskałam Fabiana, ale nie śmiem dotknąć Lotti.

A potem mała z dumą zamyka zeszyt. Gotowe! Fabian uśmiecha się ze ściany. Nigdy nie nauczył się odejmowania pisemnego. Nie zdążył. Chcę uciec do lasu. Do Thursena. Mam w nosie, co uważa Sjóll. Przy nim wszystko boli mniej. Thursen to moja opoka, mój azyl, moje schronienie. Wierzę, że pomoże mi nie stracić gruntu pod nogami.

Żegnaj się z Fabianem, który rozmyty i niewyraźny, wisi na ścianie jak duch, jakby go już tu nie było. Bo to prawda, nie ma go już, poprawiam się w myślach. Nie ma go. Nawet Lotti to rozumie.

Tym razem już z daleka słyszę wilki. Jarro z jazgotem pędzi za patykiem, który rzucił mu Norrock. Fath biegnie za nim, ale nie nadąża, Jarro już wraca z patykiem w zębach. Z dumą kładzie go na ziemi, kilka metrów od Norrocka.

Opieram się o wiekowy jesion i przyglądam się im.

- Co, jeszcze raz? - mówi Norrock. Chce podejść do patyka. Rawuhn zrywa się z miejsca. Jeszcze przed chwilą na leżąco przyglądał się zabawie. Błyskawicznie podbiega do patyka i gdy Norrock schyla się po niego, Rawuhn podnosi go pierwszy. Warczy. Pewnie sam chce zgarnąć zdobycz. Podchodzę bliżej. Czy to jeszcze zabawa?

Norrock wyciąga rękę. Łapie patyk, który zabrał Rawuhn.

- Puszczaj - mówi. Stara się, by zabrzmiało to nonszalancko, zwłaszcza że wie, że go obserwuję. Widzę jednak, że posyła wilkowi groźne spojrzenie. Rawuhn nie puszcza. Coraz głębiej wbija kły w drewno, ciągnie w swoją stronę, sierść jeży mu się na karku, warczy.

- Puszczaj, Rawuhn! - powtarza Norrock. Zauważam, jak bardzo podobne są głosy człowieka i zwierzęcia. Norrock trzyma patyk dwiema rękami, po obu stronach wilczego pyska. Powoli, jakby na siłowni wyciskał ciężary, unosi ciężkiego wilka. Podnosi go tak wysoko, że patrzy prosto w żółtozielone ślepie Rawuhna. I powtarza głosem napiętym z wysiłku: - Puszczaj, Rawuhn.

Wilk zaciska szczęki, powoli, aż gruby konar z trzaskiem pęka na pół. Norrock cały czas trzyma ręce w górze. Rawuhn tymczasem miękko opada na ziemię i wypluwa kawałki drewna.

- Cholerny kundel - mruczy Norrock i robi taki gest, jakby chciał go kopnąć, ale Rawuhn nie traktuje tego poważnie, nawet nie uskakuje. Zdenerwowany Norrock ciska kawałki drewna przed siebie. Jarro i Fath puszczają się biegiem. Teraz każdy ma swój kawałek.

- Cześć. - Norrock podchodzi do mnie i klepie mnie po ramieniu.

- Cześć - odpowiadam. Przez chwilę obawiam się, że przyjacielskim poklepywaniem złamię mi bark, tyle ma siły.

- Tam jest Sjóll - mówi.

Siedzi na trawie, trzyma Lurnaka za łapę, obmacuje ją delikatnie.

- Bez kwiatów, Luiso? - pyta na powitanie. Przecząco kręcąc głową.

- Dzisiaj chciałam się tylko zobaczyć z Thursenem.

- A jego akurat nie ma. - Sjóll chyba coś wyczuła, ogląda łapę, rozsuwa wilcze palce. - Pomożecie mi?

Przytrzymujemy wilka, a Sjóll długimi paznokciami wyciąga kolec z poduszeczki. Lurnak kłapie zębami, ale z Norrockiem nie ma szans.

- Już po wszystkim. - Sjóll kiwa głową. Puszczamy wilka. I natychmiast wracam myślami do Thursena.

- A gdzie jest?

Sjóll przeczesuje futro Lurnaka rozcapierzonymi palcami. Wilk leży nadal, rozkoszuje się pieśczołą, mruży ślepią jak zadowolony kocur.

- Poszli z Karrem zdobyć pieniądze - odpowiada Sjóll. Wyciągam rękę i z wahaniem głaszczę Lurnaka po grzbiecie.

- Tylko we dwóch? Bez wilków? - Lurnak chyba tego nawet nie czuje, tak gęsta jest jego sierść. Jest o wiele bardziej szorstka niż włosy Lotti, wszystkie dziecięce włosy, których dotykałam. Tak bardzo chciałabym jeszcze jeden, jedyny raz zmierzić braciszkowi włosy.

Norrock wybucha śmiechem, głośnym, serdecznym.

- Bez wilków? Thursen naprawdę nic ci nie powiedział? To o czym wy ciągle gadacie?

- Zamknij się, Norrock. To sprawa Thursena! - warczy Sjóll i kładzie mi rękę na ramieniu. - Zresztą nie widzisz, że ona ledwo żyje?

Kiwam głową, wdzięczna za troskę.

- No tak - mrużę pod nosem. - Była u mnie Lotti i pytała o...

- Nie. - Sjóll podnosi ręce w obronnym geście. - Nie jestem Thursenem. Nie zwracaj mi głowy twoimi problemami, a ja nie będę ci zwracała moimi, jasne?

Wbijam palce w futro Lurnaka.

- Jasne. Przepraszam.

- Umiesz grać w skata? - pyta Norrock. Podnoszę głowę.

- Słucham?

Norrock wzrusza ramionami.

- Zmierzcha się. Thursen i Karr zawsze wracają o zachodzie słońca. Możemy zagrać partyjkę, czekając na nich. No, Sjóll, dawaj karty!

Sjóll wyjmuję z kieszeni zużytą talię i rozdziela karty na dwa stosiki.

Pozostałe wilki podchodzą bliżej. Fath i Jarro układają się o kilka metrów od nas, pod rozkołysanym krzewem bzu. Obserwują nas, leżąc na boku. Nieco dalej, utykając na tylną lewą łapę, idzie Krestor. Poznaje go po tym, że utyka. Węszy przez chwilę i siada koło Jarro i Fatha. Rawuhn trzyma się z daleka, stoi między sosnami. Może jeszcze nie zapomniał potyczki z Norrockiem.

- Przykro mi - mówię. - Nie umiem grać w skata. Norrock wzdycha.

- W makao? - pyta.

- Jasne. - Mój brat zawsze chciał grać w makao.

Sjóll już skończyła. Norrock bierze jedną kupkę, tasuje, rozdaje karty. Robi się coraz ciemniej. Z dnia na dzień zmrok zapada wcześniej. Sjóll chowa pozostałe karty, wyciąga skądś podrapany słoik, w którym wśród pokładów wosku znajduje się świeczka, stawia pośrodku. Norrock układa sobie karty w dłoni, a Sjóll zapala świeczkę zapalniczką.

- Au! - syczy. Oparzyła się.

- Pokaż - mówię.

- Spokojnie, nic mi nie będzie. - W blasku świecy koniuszek jej palca jest czerwony. Jak mała dziewczynka wsuwa palec do ust, żeby złagodzić ból.

- Na pewno będziesz miała bąbel - mówię. Tym razem to ja chcę ją pocieszyć.

- Nie sądzę. - Norrock uśmiecha się porozumiewawczo. - Sjóll? Raczej nie.

- Niby dlaczego akurat Sjóll...

- Zamknij się w końcu! - warczy Sjóll do Norrocka i sięga po swoje karty.

Gramy. Te karty wyglądają inaczej. Sjóll tłumaczy, że gramy częścią jej talii tarota. Zamiast pików, trefli, karo i kierów w tej talii są buławy, kielichy, miecze i denary. Obrazki na kartach są dla mnie nowe, ale gra się tak samo jak zwykłą talią.

Wykładamy pierwsze karty. Rawuhn wstaje i podchodzi do nas z wahaniem. Akurat Rawuhn. Nie lubię go, odkąd dotknął zimnym nosem mojego policzka i tym samym przeraził mnie śmiertelnie. A teraz, gdy widziałam, jak silne są jego szczęki, boję się go jeszcze bardziej. Zwłaszcza że nie ma Thursena, który mógłby mnie przed nim obronić.

Sjóll widzi kątem oka, na co patrzę.

- Nie sądzę, żeby chciał cię skrzywdzić - mówi, nie podnosząc głowy znad kart, które układa sobie w dłoni. Rawuhn układa się za mną. Ręce mi drżą. Słyszę jego oddech za plecami, słyszę szelest ściółki pod jego łapami. Wilki są takie ciche.

- A jeśli jednak? - pyta Norrock. Rawuhn mruży groźnie. Przerazona, odwracam się. Pochylił łeb, obnażył kły, wyciągnął szyję. Ale nie na mnie patrzy, tylko na Norrocka. A potem układa się na ziemi, tak blisko, że dotyka moich pleców. Opiera łeb na łapach i mruży ślepią. Odprężam się powoli, czuję, jak rozluźniają się moje spięte ramiona. Kiedy tak leży, Rawuhn wygląda jak szczęśliwy pies, nie ma w nim nic groźnego. A jego sierść ogrzewa mnie odrobinę. Przynajmniej póki Thursen nie wróci.

Mimo to nie mogę się skupić i przegrywam. Widzę przed sobą twarz Fabiana, jak radośnie woła: makao i tanecznym krokiem biegnie przez cały dom, do ogrodu, gdy rzucił na stół ostatnią kartę. Fabian wygrywa, ja przegrywam. Raz za razem. Fabi byłby zachwycony, gdyby tak siedział w środku lasu i przy świetle własnoręcznie zrobionej lampy grał w makao kartami do tarota. Uznałby, że to wspaniała przygoda. Ja nie. Gram mechanicznie. Zabijam czas, póki nie przyjdzie Thursen. Oddałabym wiele, żeby Fabi był tu

teraz ze mną, zaglądał mi przez ramię. I znowu coś dławi mnie w gardle. Przełykam z trudem, nie chcę, żeby pozostali zobaczyli, że najchętniej znowu załapałabym się łzami. Norrock uśmiecha się pod nosem. Sjóll odpycha Lurnaka, który leżał z łbem na jej kolanach, i zrywa się nagle.

- Dostyc tego, Norrock - mówi gniewnie. - To maczugi, nie kielichy! Oszukujesz! To nie do wytrzymania! Oddawaj karty, i to już!

- Och, przestań! - mruczy Norrock. Nadal siedzi koło mnie i nie pozwala jej zobaczyć swoich kart. Znowu ma w ręku mniej kart niż ja.

- Mówię poważnie. Luisa gra, a ty podrzucasz swoje karty na stół. Pokaż!

Norrock składa swój wachlarzyk kart, odbiera mi też moje. Znudzony, wstaje powoli, obejmuje Sjóll lewym ramieniem, przyciąga do siebie i prawą ręką kładzie karty na jej wyciągniętej dłoni. Rzeczywiście nie ma pęcherza po poparzeniu, jej palec nie jest nawet zaczerwieniony.

- Wkurzasz mnie, Norrock - mówi i odpycha jego rękę. Chowając karty, pyta mnie: - Chcesz tu poczekać na Thursena?

Przytakuję ruchem głowy.

- Dobra. Będę z resztą nad jeziorem. - Reszta, czyli wilki, idą za nią.

- Nad jeziorem jest fajnie - mruczy Norrock. Rawuhn trąca mnie w ramię, gdy wstaje, i idzie za sforą. Szukam chusteczki, muszę wytrzeć nos, bo rozpacz jednak podchodzi mi do gardła. Przynajmniej na chwilę mogę ukryć twarz w chusteczce. Odprowadzam wzrokiem wilki, znikające w lesie jeden po drugim. Robi mi się zimno. Chciałabym, żeby Thursen już wrócił. W końcu mogę płakać. Nie ma tu nikogo, kto nie mógłby tego wytrzymać. Ani rodziców, ani Sjóll.

- Nadal cię to interesuje? - Norrock zawrócił nagle. A może w ogóle nie odszedł? Stoi nade mną na lekko rozstawionych nogach, w podniszczonej skórzanej kurtce. Jedną rękę trzyma w kieszeni, drugą odgarnia z twarzy szare pasmo. Te włosy postarzają go, chociaż z drugiej strony nie wiem, ile ma lat. Tu, na dworze, ludzie starzeją się szybciej.

- Ale co? - pytam. Chowam chusteczkę do kieszeni. Nie chcę przy nim płakać.

- Sjóll ma rację, naprawdę ledwo żyjesz. Jeśli chcesz, pokażę ci, co zrobić, żeby było łatwiej - mówi Norrock i czubkiem kowbojskiego buta trąca moją pogniecioną, zapłakaną chusteczkę. - Lepszy sposób niż rycie liter w drzewie. Sposób, który odsuwa ból.

Kuca przede mną, opiera łokcie na kolanach, patrzy mi w oczy.

- I co ty na to?

Głęboko nabieram powietrza.

- Dobra, opowiedz mi. Ale ani słowa Thursenowi.

- Przecież nie jestem głupi. - Uśmiecha się krzywo, palcami gasi świeczkę w słoiku. A potem kiwa głową i wstaje.

- Co jest?

- Musisz iść ze mną. Tego nie da się opowiedzieć, to trzeba zobaczyć.

Wstaję.

- No dobrze. - Norrock unosi dłonie do ust i wydaje wilczy skowyt. Niezbyt udany. - Teraz ty - mówi.

- Bardzo śmieszne. Co to ma znaczyć?

Norrock śmieje się z mojego oporu.

- Spróbuj!

Próbuję. Unoszę dłonie do ust i zawodzę coraz głośniejsze, coraz wyżej, jak Norrock. Czuję się idiotycznie. I to ma być ten wielki sekret?

Milczymy. Norrock kładzie mi rękę na ramieniu. Nasłuchuje. Czeka.

I nagle otrzymujemy odpowiedź. Z głębi lasu. Prawdziwe wycie.

Trzaski i szelesty słychać coraz bliżej. Słyszymy kroki łap i dyszący oddech. I nagle są na polanie zalanej księżycowym światłem. Mroczne cienie. Wilki usłyszały nasze wołanie. Jak na znak siadają w kręgu, blisko siebie. Jerro i Fath, Krestor i Lurnak. Zostawiają też miejsce dla nas.

Norrock zajmuje miejsce koło drobnego wilka, w którego ucho błyszczą taki sam srebrny kolczyk, jaki ma Sjóll. Sjóll nie wróciła z wilkami. Może ukrywa się wśród drzew i obserwuje nas, jak to dawniej robił Thursen.

Norrock gestem daje mi znak, żebym zajęła miejsce obok niego. Wilk po jego prawej stronie warczy cicho.

Norrock parska śmiechem. Trąca zwierzę łokciem.

- Co to ma znaczyć? Przecież ona jest jedną z nas.

Pełna obaw, przysiadam obok niego. Koło mnie jest Rawuhn. Mam nadzieję, że znowu będzie miły i mnie nie ugryzie.

Norrock zaczyna mówić. Czy zawsze miał taki głęboki głos? Tak szorstki, jakby przemówiły drzewa? Pochyliła się nade mną, wypełnia słowami noc:

- Widzisz księżyc?

Jak mogłabym go nie widzieć? Srebrna kula wisi nad nami na wieczornym niebie, zbyt wielki, zbyt bliski. Niebo jest beżowoszare, czerń nocy dopiero nadchodzi.

- Przy pełni jest łatwiej. - Norrock klęczy koło mnie. - Rób to co ja - mówi cicho. - Złap wilka za sierść.

Szukam dłonią Rawuhna. Klękam koło niego, wplątam palce w szorstką sierść na jego grzbiecie.

- Podaj mi drugą rękę. Krąg musi być zamknięty.

Podaję mu prawą dłoń. Początkowo nic się nie dzieje. Jest tylko okrągły księżyc, królujący na niebie, sierść Rawuhna po lewej i dłoń Norrocka po prawej. Aż nagle czuję mrowienie w dłoniach. Jakby prąd o niskim napięciu, który przepływa przez ciała wilków, przez moje dłonie, przeze mnie. Bo teraz zaczynają wyć. Najpierw cicho. Odrzucają łby do tyłu, wypełniają zmierzch swoim oddechem i skowytami. Zawodzą do księżyca. Mrowienie przybiera na sile. Już wiem, co Norrock miał na myśli. Tak mi się przynajmniej wydaje. Tego nie można wytłumaczyć. Wielka tajemnica wilków. To, co daje ci siłę. Chcę zawyc razem nimi, nabieram powietrza w płuca, zamykam oczy.

I wtedy ktoś łapie mnie za ramiona od tyłu i wyciąga z kręgu.

- Nie! - krzyczy Thursen. Nie chcę go słyszeć. Nie chcę przerywać więzi. Zapieram się nogami, walczę, wyrywam mu się, ale nieubłaganie wyciąga mnie z kręgu. Nie chcę go opuszczać. Chcę doświadczyć zapomnienia, które obiecują.

- Puść mnie! Dlaczego mnie dręczysz? - wrzeszczę. Nie oglądam się za siebie.

Thursen nie zwraca na to uwagi. Rzuca mną wściekle jak zepsuta zabawkę, a potem rzuca się na Norrocka. Pochyla się nad nim i mówi cicho, głosem jeszcze bardziej szorstkim niż zazwyczaj:

- Dlaczego to zrobiłeś?

Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Przepętnia go lodowata nienawiść, wydaje się, że lada chwila uderzy Norrocka. Zaciska zęby i pięści, przewierca Norrocka wzrokiem. Z mojego miejsca wydaje się niemal, że wściekłość barwi jego oczy na zielono-żółto.

Norrock wzrusza ramionami. Wcale nie jest taki rozluźniony, na jakiego chce wyglądać. A potem wstaje, strzepuje liście z czarnych dżinsów.

- O co ci chodzi? - pyta. - Sama tego chciała. - Odwraca się, chce wrócić do wilków.

Thursen łapie go za ramiona, odwraca tak, żeby patrzył mu w oczy.

- Czego chciała? Zasiąść w wilczym kręgu? Przecież nie ma zielonego pojęcia, co to oznacza!

Tym razem Norrock odwzajemnia jego spojrzenie.

- A dlaczego jej tego nie powiedziałeś? Boisz się? Nie chcesz, żeby wiedziała, co tak naprawdę Thursen i jego kumple robią w lesie?

- Idę o zakład, że ty też nie wszystko jej powiedziałeś - szepcze Thursen. - Nie powiedziałeś, co się dzieje w wilczym kręgu w świetle księżyca. Nie wspomniałeś o cenie.

- Och tak, cena! Cena za zapomnienie. - Norrock śmieje się pogardliwie. - Pozwól, że się zastanowię. Czy możliwe, że ty jesteś gotowy ją zapłacić? I że kiedy ja do was przyszedłem, było ci obojętne, że przyjdzie mi ją zapłacić? Dlaczego teraz jest inaczej?

- Posłuchaj mnie, Norrock. Pomyliłeś się. Ona nie jest taka jak my. Ją czeka inna droga. I dlatego nigdy nie zapłaci naszej ceny. Zrozumiałeś?

Thursen nie czeka na odpowiedź, odwraca się do Norrocka plecami, szybkim krokiem podchodzi do mnie, pochyla się, bierze mnie za rękę i jednym ruchem stawia na nogi.

- Późno już, Luiso. Odprowadzę cię do alejki. - Odwracam się i widzę wilki siedzące w kręgu. Zamknęty. Same wilki. Norrocka nigdzie nie widać.

Thursen ciągnie mnie przez las. Zatrzymuje się dopiero pod naszą latarnią. Słyszę wilcze wycie. Cicho, z oddali. Tęsknie myślę o tamtym uczuciu, mrowieniu i sile, które przepętniały mnie, gdy siedziałam wśród nich. I wtedy widzę, jak Thursen zamyka oczy i wydaje mi się, że zaledwie przez chwilę, że



czuję drżenie jego dłoni w mojej. On także słyszy swoje wilki. Ile razy siedział w ich kręgu? A potem puszcza mnie.

- Idź już. - Mówi poważnie, widzę to w jego oczach. - I nie wracaj. Myliłem się. To zbyt niebezpieczne.

O nie, nie znowu.

- Już to przerabialiśmy. Do tej pory nic mi się nie stało.

- Istnieje niebezpieczeństwo, którego nie wziąłem pod uwagę.

- Jak to? Chcesz się mnie pozbyć? Masz mnie dosyć?

Sięga po moją dłoń, przyciąga mnie do siebie. Patrzy mi w oczy, niemal się uśmiecha.

- Oczywiście, że nie. Nie chcę tylko, żeby... zresztą, dajmy temu spokój. Po prostu trzymaj się od nas z daleka.

Uwalniam się. Zaciskam pięści.

- Co właściwie chcesz mi przez to powiedzieć?

Podnosi rękę i znowu je opuszcza.

- Nie chcę, żeby groziło ci niebezpieczeństwo tylko dlatego, że spotykasz się z kimś takim jak ja. Jesteś taka miła, mądra, ładna. Poszukaj kogoś innego. Kogoś, kto nie żyje jak ja.

- Do cholery, nic mnie nie obchodzi, jak żyjesz!

- Ale mnie tak. Powtarzam, Luiso: trzymaj się od nas z daleka.

- Naprawdę każesz mi odejść? Przez tę bzdurę z wilczym kręgiem? A może chodzi o coś jeszcze?

- Zrozum, Luiso!

- Nie. Nie rozumiem. Widzę, że dzisiaj nie sposób z tobą rozmawiać. Chyba naprawdę już pójdę.

Mam tego dosyć. Dosyć tego, że mnie odsyła, tak po prostu. Że niby pojawiło się nowe niebezpieczeństwo. Co za niebezpieczeństwo? Że ziemia mnie pochłonie? Że konar spadnie mi na głowę? Równie dobrze mogłabym sto razy wpaść pod samochód, i to z dala od lasu!

Jeszcze raz oglądam się za siebie, ale nie biegnie za mną, nie zatrzymuje mnie. Nie tym razem.

No dobrze, więc nigdy więcej go nie zobaczę. Nie, nie będę za nim tęsknić. Nienawidzę go. Nienawiść to dobre uczucie. To moja zbroja. Nienawiść dławi ból, jak lód koi stłuczenia.

W drodze do domu zacynam płakać. Łzy spływają mi po policzkach, zmywają złość, aż jestem pusta w środku. W domu nie mówię ani słowa, do nikogo. Zасыpiam w swoim pokoju. Zresztą niby co mogłabym powiedzieć, skoro moje słowa nie trafiają nawet do niego?

Świt. Niebo jest koloru jego włosów. Deszcz stuka o szybę mojego okna. Budzik piszczy w elektronicznej panice, ale chyba nie mnie ma na myśli. Nie wstaję. Ani dzisiaj, ani może już nigdy. Thursen kazał mi odejść. Po co mi nowy dzień? Kolejny? Od śmierci Fabiana przeżyłam już tyle dni. Źle się czuję,

mówię rodzicom, gdy wołają mnie na śniadanie. Nie pytają, co mi dolega. Kiedy właściwie przestali pytać? Podchodzą do drzwi, patrzą na mnie współczująco, wzdykają i dzwonią do szkoły, żeby zwolnić mnie z lekcji. Wydają się równie wykończeni jak ja. Jakim cudem udaje im się dzień w dzień iść do pracy?

Zostaję w domu. Naciągam kołdrę na głowę, kryję się pod nią jak w pancerzu. Usiłuję się nie budzić, nie śnić, nie czuć. Mieszkanie jest puste, jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Thursen kazał mi odejść. Ciszę przerywa jedynie monotony dźwięk uderzenia deszczu o szyby i mój oddech. I jeszcze z mieszkania na górze dobiega ciche stukanie laski starszej pani. Powoli drepczę do kuchni. Pewnie jest głodna. Ja nie. Staram się przełknąć rozpacz, wypełnić nią pusty żołądek. Protestuje, burczy głośno.

Wysuwam głowę spod kołdry, bo muszę oddychać. Nie chcę oglądać telewizji. Nie chcę czytać. Gdy gapię się w ścianę, dostrzegam wzorki na tapecie. Tego też nie chcę widzieć. Zamykam oczy.

Czego właściwie Thursen nie chciał mi pokazać? Dlaczego nie mogę poznać sposobu Norrocka? Dlaczego Thursen kazał mi odejść?

Zasypiam już, gdy nagle w dużym pokoju dzwoni telefon. Uporczywie. A przecież w tym mieszkaniu rzadko kto do nas dzwoni. Drugi dzwonek. A jeśli już, to tylko do rodziców. Z gazowni, w sprawie wywozu śmieci, operator telefoniczny. Trzeci dzwonek. Rodzice! Podczas krótkiej rozmowy potrafią udawać, że jesteśmy normalną rodziną. Czwarty dzwonek. Uśmiechają się, żartują, mówią wesołym głosem. Nie chcę tego. Nie potrafię. Zostanę w łóżku. Piąty dzwonek. Zaraz włączy się sekretarka automatyczna.

Szósty dzwonek. Kliknięcie, głos mamy. A potem głos, niski, cichy, zza zamkniętych drzwi:

- Luisa?

Thursen! Moje serce uderza szybciej. Tylko jeden raz, bo więcej nie trzeba, bym zerwała się z łóżka, podbiegła do drzwi, dalej do pokoju, do telefonu. Więcej nie trzeba, bym sobie przypomniała, że Thursen przecież nie ma mojego numeru.

- Tak? - mówię. Nienawidzę tego, kto wzbudził we mnie złudne nadzieje.

- Luisa? - No pewnie. Głos w słuchawce nie należy do Thursena. Jest inny, jasny i gładki, wykrochmalony.

- Cześć, tu Edgar! - Niemal słyszę jego uśmiech w słuchawce.

Cześć, tu Święty Mikołaj. Nie znam żadnego Edgara.

- Kto? Skąd masz mój numer telefonu?

- Edgar! Z twojej klasy! A numer telefonu mam z dziennika!

Edgar. Ach, tak. Przed oczami staje mi jego rozmyta twarz: okrągła buzia, niebieskie oczy. Kręcone włosy w kolorze ni to kawy z mlekiem, ni to niemowlęcej kupy. Przedstawił mi się zaraz pierwszego dnia, wyciągnął rękę z tym samym uśmiechem, który teraz słyszę w słuchawce. To nasz mąż zaufania, rozjemca, gospodarz klasy czy coś takiego. Nachalny. Zastanawiam się, czy swego czasu przekupił pozostałych w klasie, żeby go wybrali.

- Czego chcesz?  
- Nie było cię dzisiaj w szkole.  
Brawo, KGB!  
- Kontrola uczniów to twój obowiązek? Zdajesz relację wychowawcy czy od razu walisz do dyrekcji?  
Słyszę głośną muzykę w słuchawce. Edgar jest zły:  
- Ścisź telewizor!  
Trzaśnięcie, chyba drzwiami, i znowu jego głos:  
- Dobrze, jestem u siebie w pokoju. Przepraszam, co mówiłaś?  
- Nieważne. Więc nie było mnie w szkole.  
- No i pomyślałem sobie, że jeśli jesteś chora, na pewno chcesz wiedzieć, co było zadane. Nie wiem, czy już się z kimś zaprzyjaźniłaś.  
- Nie - odpowiadam.  
- Co: nie?  
- Nie. Nie, nie zaprzyjaźniłam się z nikim. Nie, nie interesuje mnie, co było zadane. Nie, nie jestem chora.  
- Może mógłbym....  
- I najważniejsze: daj mi spokój! Sama decyduję o moim życiu!  
Nie słucham go, odkładam słuchawkę, gdybym od razu wyłączyła sekretarkę, byłoby jeszcze lepiej. Ale kiedy ciskasz telefonem o ścianę, chyba połączenie się przerywa?

Telefon Edgara rozjuszył mnie. Obudził tę samą wściekłość, która poprzednio kazała mi zignorować opory Thursena i pójść razem z wilkami. Norrock ma rację. Jestem jedną z nich. Dzisiaj Thursen nie będzie się przede mną ukrywał. Zresztą co może zrobić? Wrzeszczeć? Pieklić się? Urządzić awanturę? Ja też. Biorę długi gorący prysznic, ubieram się. Szum wody dobrze mi zrobił, spłukał najczarniejsze myśli. Thursen kazał mi odejść, bo uważał, że znajduję się w niebezpieczeństwie. Sama decyduję o moim życiu, jak powiedziałam Edgarowi. Chcę być z Thursenem. Skoro to jest cena, którą muszę zapłacić, zaryzykuję, że wilki zrobią mi krzywdę. I odprowadzę z Norrockiem czarną mszę.

Gdy jestem w lesie, przestaje padać, zostają tylko krople na gałęziach. Rozglądam się czujnie, czy nikt mnie nie śledzi, gdy zbaczam z alejki. Nie wiem, przed kim się ukrywają, ale obiecałam Thursenowi, że nikomu nie zdradzę lokalizacji obozowiska. Miękki grunt tłumi moje kroki. Szybko trafiam do obozu, ale i tym razem nie widać Thursena. Jest za to Karr. I Norrock.

- Gdzie Thursen? - pytam wściekła, gdy dotarłam do obozu.  
- Spłoszyłaś ją - marudzi Karr. Stoi koło ogromnej brzozy, ma w dłoni dwa orzechy. Wiewiórka zwinnie ucieka coraz wyżej, aż niknie wśród gałęzi.  
- I tak nie podeszłaby bliżej - zauważa Norrock. - Przecież tu jest pełno wilków. - Jeden z nich siedzi koło niego. Poznają go po kolczyku. Srebrny,

błyszczący, okrągły, wielkości jednocentówki. Taki sam jak ten, który nosi Sjóll. Nieco dalej kudłaty Lurnak śpi smacznie i przez sen przebiera łapami.

- Thursen na pewno zaraz przyjdzie - mówi Karr z uśmiechem i odchodzi głębiej w las. Może liczy, że znajdzie bardziej ufną wiewiórkę.

Po wczorajszym nie wiem, jak rozmawiać z Norrockiem. Jestem ciekawa, co by było, gdybym została, Ale zadaję inne pytanie, banalne, którym chcę tylko wypełnić ciszę:

- To wilk Sjóll? Ma taki sam kolczyk jak ona.

- Wilk Sjóll? On ci naprawdę niczego nie powiedział? - Norrock śmieje się, ale brzmi tak, jakby słowa drapały go w gardle. Jakby chciały się wydostać.

- O nas?

- Nic a nic. - Nadchodzi Thursen. Znowu nie wiem, kiedy się zjawił. Jest zmęczony, jego oczy są jeszcze bardziej podkrążone niż zazwyczaj, ale nadal dumnie unosi głowę. Nie ucieka przed moim wzrokiem. Mam ochotę odgarnąć mu ciemne kosmyki z twarzy. Odsuwa się, odrobinę, ale to wystarczy, by moja ręka idiotycznie zawisała w powietrzu.

Zaciskam pięść. Nie zniosę tego dłużej, mam dość jego zabawy w chowanego. Ciągłe go gonię i ciągle mi ucieka. Trzyma mnie na odległość i nie pozwala zbliżyć się o krok.

- Więc mi powiedz! - rzucam mu w twarz. - O co w tym wszystkim chodzi? O co chodzi z wilkiem Sjóll?

- Mam ci powiedzieć? - szydzi Norrock.

- Nie! - warczę. - Chcę, żeby powiedział mi Thursen!

Thursen zamyka oczy, wzdycha.

- Dobrze. - Skinienie głowy. I po chwili rozkaz: - Spadajcie stąd, wszyscy!

Norrock uśmiechnął się do mnie i klepie Thursena po ramieniu. Wilk z kolczykiem biegnie koło niego, Jerro i Fath brykają. Lurnak wstaje. Kilka sekund później Norrock w otoczeniu wilków znika mi z oczu.

- Chodź, przejdziemy się - mówi Thursen, gdy zostajemy sami. Ukrywa twarz w dłoniach i idzie w las, jakby nie był w stanie stać spokojnie, przepełniony zmęczeniem, gniewem, niepokojem. Idę za nim po mokrej ściółce. Nadlatuje czarny kruk, siada na niemal bezlistnym buku, wdaje się w krzykliwą pogawędkę z przyjaciółmi. Lądując, obsypuje nas deszczem kropli. Usiłuję obetrzeć wodę, spływającą z włosów, ale Thursen chyba niczego nie zauważa. Biegnie przez leśne bezdroża, coraz dalej, dalej. Zatrzymuje się, gdy coś szeleści mi pod nogami. Może myszka? Ucieka pewnie, spłoszona długimi krokami Thursena, które teraz już nie są takie ciche. Biegnę dalej, chcę dotrzymać mu kroku, Wydaje się do tego stopnia pogrążony w myślach, że nie sprawdza nawet, czy za nim idę. Wychodzimy z lasu. Thursen uspokaja się w końcu. Przed nami leży, korzeniami do góry, pień wiekowego drzewa. Widzę połamane konary i butwiejącą korę. Thursen siada. Wyczerpana, zajmuję miejsce nieco dalej, bliżej korony. Nie bezpośrednio obok niego, lepiej nie. Nie

zniosłabym, gdyby odsunął się ode mnie, bo uzna, że siedzę zbyt blisko. Gdzieś w pobliżu śpiewa kos, powietrze ciągle pachnie deszczem. Nie za bardzo wiem, dokąd mnie przyprowadził. Chyba jesteśmy na wzgórzu, bo poniżej w Wannsee odbija się ołowiane niebo. Widzę dwie łódki z białymi żaglami. Pewnie żeglarze korzystają z chwili przerwy w deszczu. Obserwuję je, daję Thursenowi czas, żeby sam zaczął mówić, tłumaczyć. Ale on milczy.

- Co takiego chciał mi powiedzieć Norrock? - zagaduję, staram się, by te słowa zabrzmiały nonszalancko, od niechcenia. Nie odrywam wzroku od łodzi. Nadpływa trzecia.

Jeszcze przed chwilą zakrywały ją gałęzie, a teraz szybko dogania pozostałe.

- Nie - mruży Thursen, raczej do siebie niż do mnie. Zdrapuję mech z pnia, na którym siedzimy. I jeszcze. Moje paznokcie zostawiają jasne ślady na mokrym drewnie.

- Dlaczego nie odpowiadasz?

Podkurczył kolana, objął je rękami. Włosy opadają mu na twarz. Nie patrzy na mnie.

- Dlaczego wróciłaś? - szepcze.

- Przez ciebie, nie wiesz? - W końcu patrzy na mnie. Przygląda mi się. I dobrze, bo zaraz będę krzyczeć. - Do cholery, Thursen, nie możesz tak po prostu kazać mi odejść! Bez słowa wyjaśnienia!

Wściekły, zamyka oczy, zrywa się z pnia, staje przede mną, zaciska pięści.

- Przeze mnie, tak? Chcesz być ze mną? Nie masz pojęcia, w co się pakujesz!

Krzyczę jeszcze głośniej.

- Więc mi powiedz!

Milczy. Zaciska zęby, jakby chciał zdusić słowa, które cisną mu się na usta. Zdusić i przełknąć. Patrzy mi w oczy. Z całej siły kopie pień, na którym przed chwilą siedział, i znowu siada. Wzdycha, jakby chciał wyrzucić z siebie całą złość. Zwiesza ramiona, nagle wydaje się zmęczony, pusty w środku.

- Bo to więcej niż możesz znieść - mówi cicho.

- Skąd wiesz, co jestem w stanie znieść? Odchyła głowę, zamyka oczy.

- No dobrze. Bo to więcej, niż ja jestem w stanie znieść. - A potem patrzy mi w oczy. - Nie zniosę tego, że odejdziesz.

- Zostanę. - Czyżby tak słabo mnie znał? Wzdycha.

- Nie obiecuj zbyt wiele.

- Więc mnie zatrzymaj.

Ku mojemu zdumieniu naprawdę to robi. Siada okrakiem na pniu, przysuwa się tak blisko, że mogę się o niego oprzeć. Obejmuje mnie w talii, opiera mi głowę na ramieniu i szepcze.

W pierwszej chwili nie rozumiem. Słowa nie mają sensu. Przecząco kręcę głową. Serce bije mi coraz szybciej. Czy nie powinnam jednak wyrwać się z

jego ramion? Uwolnić się? Uciekać ile sił w nogach i nigdy nie wracać? Bo mówi potworne rzeczy.

## Rozdział 6

- Wilk z kolczykiem... To nie jest wilk Sjóll. Ona potrafi przeobrazić się w zwierzę. To jest Sjóll

Dokąd on mnie przyprowadził? Na jakie niebezpieczeństwo narażam się tylko po to, żeby z nim się zobaczyć? A on wiedział i cały czas nic nie mówił.

- Twoje wilki... to nie są zwyczajne wilki? To... wilkołaki? Zmiennokształtni? Ale dlaczego... - Nie znajduję odpowiednich słów. Wierzę się w jego ramionach, chcę się odwrócić, zobaczyć jego twarz, wyczytać z jego oczu, czy to, co mówi, to rzeczywiście prawda.

Nie pozwala mi na to. Trzyma mnie w żelaznym uścisku.

- Posłuchaj, Luiso. Po prostu mnie wysłuchaj. - Przez jedną krótką, rozpaczliwą chwilę mam nadzieję, że tylko wystawia mnie na próbę. A potem zaczyna mówić. Stara się wyjaśnić niewyjaśnione:

- Wilkołaki są silniejsze niż ludzie. Mniej wrażliwe. Jak się jest wilkołakiem, to jakby się było nieśmiertelnym. - Rozumiem. Są groźne. To dlatego nie chciałem, żebyś przychodziła do obozowiska. Miałam szczęście, że tam był, że mnie chronił. Bo przecież chronił mnie? Nawet gdyby zaatakowali mnie jego kumple w wilczej skórze? Chwileczkę.

- Skąd ty właściwie o tym wiesz?

Przyciąga mnie jeszcze bliżej do siebie, pochyla się nade mną i szepcze mi prosto do ucha. Jego ciepły oddech muska mój policzek.

- To jest nasz sposób. Dzięki temu możemy dalej żyć. Odrzucamy człowieczeństwo. Zamiast zmartwień mamy w głowach prymitywne zwierzęce myśli. Zamiast palców - pazury. Kły. Futro zamiast skóry.

- O Boże. - Ukrywam twarz w dłoniach, jakbym tym sposobem chciała odepchnąć od siebie prawdę. My. Powiedział: my, a więc nie tylko opowiadał o innych. - Ty też?

Potwierdza ruchem głowy.

Serce bije mi tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Thursen to wilkołak!

Słowa z trudem przechodzą mi przez gardło.

- Naprawdę zmieniasz się w wilka? - Sądziłam, że wtedy, pierwszego dnia w obozie, ustrzegł mnie przed wilkami. Tymczasem był jednym z nich. Którym?

- Kto mnie ugryzł w stopę?

- Norrock.

- Ach tak. Norrock - paplam bez sensu. Może to wszystko wyda mi się bardziej rzeczywiste, gdy o tym porozmawiamy?

- Chciał cię tylko zatrzymać, żebyś nie uciekła i nie zdradziła naszej kryjówki - tłumaczy Thursen.

Przełykam ślinę.

- A ty? Co ty zrobiłeś? Warczałeś na mnie?

- Odepchnąłem cię na bok, żebyś nie znajdowała się na linii ataku. Odpędziłem Norrocka.

- Och. - Nie, to wcale nie staje się normalniejsze. Siedzę na zwałonym pniu w objęciach wilka. Wilkołaka w długim czarnym płaszczu.

Strach podmywa, niszczy, niweczy spokojną ufność, którą od początku pokładałam w Thursenie. W jego żelaznym uścisku zamieniam się w słup soli. Uprzedzał mnie, ostrzegał, że nie znam go dobrze. Teraz już wiem: jest bardziej niebezpieczny, niż sądziłam. Wystarczy sekunda, a przeobrazi się i przegryzie mi gardło, jeśli tylko zapragnie. Wilki to świetni myśliwi, wiem to, widziałam ich ofiarę, czułam zapach krwi. Dygoczę, jakby rozpętała się śnieżycyca. Zimno rozlewa się po moim ciele, płynie od serca do palców. Szczękam zębami. To coś więcej niż strach. To panika, ogarnia mnie całą. Thursen nie jest człowiekiem. To chimera, postać z koszmarów sennych. Puszczą mnie z objęć.

- Sama wrócisz czy odprowadzić cię do alejki? - pyta. Zrywam się, ledwie wypuścił mnie z objęć. Biegnę przed siebie, byle dalej od niego. Biegnę po paprociach, kaleczę sobie rękę o jeżynowe kolce, ślizgam się na kępie trawy. Zdyszana, zatrzymuję się i odwracam. Siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach. Sam. Słyszając, że już nie biegnę, podnosi głowę, patrzy na mnie.

- Nadal jestem taki sam, Luiso - mówi.

Ten sam co wczoraj, przedwczoraj i wcześniej. Ten sam, który powstrzymał mnie przed samobójstwem. Nic się nie zmieniło. Po prostu wreszcie zaczynam rozumieć.

Znowu zaczyna padać, deszcz obsypuje włosy Thursena brylantowymi kropelkami. Choć on nie zwraca uwagi na deszcz, ja dygoczę z zimna. Naciągam kaptur na głowę, marzę, że mogę schować się do kurtki jak żółw do skorupy.

- No widzisz? A jednak odejdziesz. - Ukrywa twarz w dłoniach. Mokra włosy opadają mu na czoło, zakrywają jego twarz jak kurtyna.

Czy powinnam uciekać? Biec do domu, zapomnieć o wszystkim i nie wracać? Często mi to powtarzał.

- Przykro mi - mówię.

- Tobie? - mruczy.

- Tak, mnie. Mówiłam, że zostanę, że wysłucham do końca, a jednak uciekłam.

Wracam do niego. Siadam. Znowu w bezpiecznej odległości. Schylam głowę w kapturze, żeby deszcz nie zalewał mi twarzy. Usiłuję, w miarę możliwości, ukryć dłonie w rękawach.

- Więc tak łatwo można się przeistoczyć? - Rzucam pytanie na deszcz. Usiłuję nawiązać rozmowę w tym samym punkcie, w którym ją przerwałam. - Tak po prostu? Bez pełni, bez niczego?

Thursen pokręcił głową.

- Na początku jest trudno. Łatwiej to zrobić podczas pełni. A potem, kiedy się ćwiczy, jest coraz prościej. W pewnej chwili przemiana następuje



automatycznie. - Mówi bardzo cicho, ale brzmi tak samo jak dawniej, zanim świat stanął na głowie, zanim poznałam jego sekret.

- Często jesteś wilkiem? - pytam.

- Właściwie zawsze.

Kiwam głową. Usiłuję sobie wyobrazić, jak przemierza lasy w wilczej skórze, a ja tymczasem siedzę w swoim pokoju. Jak poluje z Jerro i Fathem. Jak wygrzewa się w słońcu z Lurna-kciem. Więc to jest jego ucieczka od bólu. Ja mam tylko dwa wyjścia, umrzeć albo żyć dalej. On znalazł trzecie rozwiązanie. Odchrząkam, zanim jestem stanie wykrztusić:

- Ale teraz jesteś tutaj. W ludzkiej postaci. Ze mną.

- W ludzkiej postaci ze względu na ciebie - mówi. - Wtedy, w lesie, biegłem za tobą aż do wieży. I nagle zobaczyłem cię na samej górze, na murze! Nie mogłem dopuścić, byś skoczyła! W wilczej postaci prześlizgnąłem się przez boczne drzwi i pobiegłem na górę. Nie widziałas, że nadchodzę, byłaś pogrążona w myślach, patrzyłaś w dół. Wtedy zrozumiałem, że potrzebuję ludzkich rąk, żeby cię powstrzymać. I przemieniłem się.

Wilk, który obserwował mnie od wielu tygodni. Więc to zawsze był Thursen. Nie jego wilk, Thursen.

- Ale w obozie byłeś w ludzkiej postaci.

Prycha.

- Dopiero kiedy mnie zawołałaś.

- Dlatego tak bardzo zdziwił ją twój widok? To znaczy Sjóll.

Znowu skinienie głową.

- Znała mnie tylko w wilczej postaci. Chyba zapomniała, jak wyglądam jako człowiek. Prawie wszyscy zapomnieli.

- Więc dlaczego nie wracasz do ludzkiej postaci? - Do cholery, w końcu jest człowiekiem i powinien żyć jako człowiek!

Wzrusza ramionami.

- To męczące. Wyczerpujące. Widzisz, zmieniamy się. Każda przemiana w zwierzę przychodzi nam łatwiej, każdy powrót do ludzkiej postaci - trudniej. Z czasem stajemy się coraz bledsi, bezbarwni, ilekroć przyjmujemy ludzką postać. Nie wiem, może nie ma już dla nas miejsca w waszym świecie.

A więc dlatego wygląda inaczej. To nie tylko bladeść wynikająca z przebywania w cieniu lasu, z dala od słońca. No dalej, popatrz na niego, nakazuję sobie. Przyjrzyj mu się dokładnie!

Przez dłuższą chwilę panuje cisza. Thursen przygląda mi się, gdy na niego patrzę. Ma włosy szare jak wronie pióra i oczy nieco ciemniejsze od płynnej stali. Nic na to nie poradzę, nadal mi się podoba. Jest piękny. Może to nieludzka dzika uroda. Ale jest piękny.

Słyszę, jak nabiera powietrza w płuca.

- Jest coś jeszcze - mówi.

O nie! Już dość!

- Nasza przeszłość zanika.

- Słucham? Kolory nie wystarczą? - Czuję, że znowu zaczynam dygotać, i to nie tylko z zimna. Obejmuję się ramionami, kulę, jakbym chciała zatrzymać resztkę ciepła.

- Posłuchaj mnie teraz, nie uciekaj - prosi. - Opowiadałem ci o rozpacz, która ściągnęła nas do lasu.

Kiwam głową.

- Zapominamy o tym. Całą naszą beznadziejną przeszłość zostawiamy za sobą.

- Całą? - powtarzam. Staram się nie szczekać zębami.

- Ilekroć przeobrażamy się w wilki, tracimy część przeszłości. - Jego dłonie kreślą w powietrzu miękkie łuki. Stara się mnie uspokoić, ale mu się to nie udaje. - Przeszłość zwyczajnie traci znaczenie. Przestaje być częścią nas.

Brzmi niewinnie. Zbyt niewinnie.

- Co właściwie tracicie? - Język przykleja mi się do podniebienia w zaschniętych ustach. Usiłuje się uśmiechnąć.

- Strach. Koszmary senne. Wspomnienia tego, co nas tak boli. I coś więcej. Stopniowo zapominamy, kim byliśmy, skąd pochodzimy. Najpóźniej przy trzeciej przemianie nie pamiętamy dawnego imienia.

To wystarczy. Jeszcze trochę, a ucieknę z wrzaskiem. Jeszcze więcej, a oszaleję.

- Chcesz usłyszeć więcej? - pyta.

Powiedz mi tylko jedno, myślę. Powiedz mi, że śnię. Powiedz, że to wszystko nieprawda.

- Nie. O Boże, nie. To mi wystarczy.

Wstaję z trudem. Myśli tłuką mi się po głowie. Idę powoli na zeszywniałych nogach. Muszę stąd odejść.

- Odprowadzić cię kawałek? - pyta Thursen.

Po chwili wahania kiwam głową. W milczeniu idziemy przez las, z daleka od siebie. Rozgarniamy gałęzie. Zatrzymujemy się pod latarnią, z której kapie wielkie krople. Thursen odbija się w kałużę. Podświadomie oczekuję, że zobaczę w niej wilczy pysk, ale widzę tylko jego znajomą szczupłą twarz za zasłoną mokrych włosów.

Ze skrzyżowanymi rękami opiera się o słup. Chyba wie, że nie może do mnie podejść.

- Luiso, czy wrócisz jeszcze, kiedy teraz odejdiesz? - pyta cicho.

- Nie wiem. Muszę sobie to wszystko przemyśleć.

- Wierzę w ciebie. Jesteś odważna i silna. Wszystko sobie dokładnie analizujesz, nie uciekasz przed ponurymi myślami, nie upiększasz rzeczywistości. Jesteśmy wilkołakami, Luiso, nie zwykłymi ludźmi, i nic tego nie zmienia.

Kiwam głową. Ale co mam robić?

Thursen wypowiada na głos moje myśli.

- Nie wracaj tutaj. Tak będzie lepiej.

Ostrożnie, żeby mnie nie przestraszyć, podchodzi bliżej. Zmuszam się, żeby się nie cofać. Nie zasługuje na to, żebym przed nim uciekała, nawet jeśli już nie jest człowiekiem. Nie po tym, co dla mnie zrobił. Przyciąga mnie do siebie, głaszcze po włosach, przesuwając ręce na moje barki, tuli moje lodowate dłonie w swoich, jest tak blisko. Staram się oddychać normalnie, czuję, że jego dłonie drżą jeszcze bardziej niż moje.

- Czy to nasze pożegnanie, Luiso? - pyta szeptem.

Nie wiem. Po jego rewelacjach jestem jak ogłuszona. Jego twarz, jego szara twarz z ołowianymi oczami, jest coraz bliżej i wiem, że jestem na niego skazana, że nie mogę się mu opierać. Gdyby wilk w nim miał zwyciężyć i zagryźć mnie teraz, proszę bardzo. Thursen waha się przez chwilę i całuje mnie. Ostrożnie muska wargami moje usta. Być może to nasz ostatni pocałunek. Szukam smaku wilka, ale go nie znajduję.

Wypuszcza mnie z objęć. Przez chwilę stoję nieruchomo, oddycham głęboko, a potem odwracam się i bez słowa wracam do domu. Nie wytrzymam dłużej.

Wlokę się w stronę dworca. Wielokrotnie szłam tą drogą. Prawie wszystko jest jak dawniej. Tylko że kiedy odwracam się po paru metrach, widzę, jak w zaroślach znika wielki czarny wilk. Teraz wiem, że to Thursen, że przestaje być człowiekiem, ilekroć znikam mu z oczu.

Wracam do domu pogrążona w myślach. Czy zobaczę go jeszcze? Czy jestem w stanie spotykać się z Thursenem-wilkołakiem?

Jestem już w domu. Może nie cała i zdrowa, ale pozornie taka sama. Gdy przekraczam próg, ogarniają mnie dwie tęsknoty - za dawnym Thursenem i za Fabianem. Są prawie namacalne.

W drzwiach dużego pokoju staje ojciec.

- Gdzie byłeś? - warczy. Prostuje się, wypełnia sobą zimny biały przedpokój, opiera ręce na biodrach. Nie ma litości, nie daje mi spokoju. Rozpacz przeradza się we wściekłość.

Bez słowa wieszam mokrą kurtkę na wieszaku. Ojciec czeka. Naprawdę liczy, że mu odpowiem? Myślałam, że wystarczy mi, że na mnie nawrzeszczy.

Podchodzi bliżej, wściekle łypie na mnie z góry.

- Chcę wiedzieć, skąd wracasz!

No dobrze.

- Z lasu. - Niech nie trzyma mnie za ramię. To boli.

Ma ochotę powrzeszczyć, wyczuwam to, ale nie śmie, bo drzwi są cienkie i sąsiedzi wszystko usłyszą.

- A co tam robiłaś?

Siedziałam w deszczu na zwałonym pniu i wysłuchiwałam niesamowitych historii. Całowałam się z bezimiennym wilkołakiem. Po raz ostatni. Oczami wyobraźni oglądałam film, którego ojciec nie zrozumie, którego sama nie rozumiem. Co mam mu powiedzieć?

- Chciałam być sama.

- I nic nam nie powiedziałaś? - Wypcha mnie do pokoju, pokazuje kartkę, leżącą na stoliku przy telefonie. - Mama się martwiła.

Karteczka leży do góry nogami, ale z pewnym wysiłkiem udaje mi się odczytać, co jest na niej napisane. Numery telefonów do szpitali.

- Do tej pory nie pytałyście, dokąd chodzę! - Szpitale. Gdyby Thursen mnie wtedy nie powstrzymał, na nic by im się zdały telefony do szpitali. Szanowni rodzice troszkę się spóźnili z tą troską.

- Zapomniałaś zupełnie, co dzisiaj za dzień? - pyta mama. Wychodzi z sypialni z pełnym koszem na bieliznę.

Dzisiaj jest dzień, w którym Thursen mi powiedział, że jest wilkołakiem. I wytłumaczył dokładnie, co to oznacza. Ale przecież nie o to jej chodzi. Co innego może być równie ważne? Od dawna nie zwracam uwagi na czas. Dni niezauważalnie przenikają się w szarej smutnej mgle. Przecząco kręcę głową.

- Mieli dzisiaj przywieźć nową pralkę! - Ojciec zdejmuje kalendarz ze ściany i podsuwa mi pod nos. I rzeczywiście, widzę notatkę zapisaną jego starannym, równym pismem: „Pralka, dostawa, 14.00”. - Miałas być w domu i ją odebrać. A nie było cię!

Wyprzedzam mamę w drodze do kuchni. Koło lodówki stoi nowa, irytująco biała pralka. Łypie na mnie szklanym okiem. Podchodzę do niej powoli. Dotykam zimnej stali.

Po starej pralce nie ma śladu.

- Po co nam jeszcze nowa pralka? Naprawdę nie możemy mieć nic starego? - Brakuje mi starej pralki, mimo plamek na drzwiczkach i stukania przy wirowaniu, z miesiąca na miesiąc coraz głośniejszego. Przynajmniej przypominała mi dawne życie. Dom.

- Stara była popsuta - mówi mama. - Wszystko się psuje. Jeszcze nie tak dawno temu stara pralka też była nowa.

Fabi był wtedy malutki. Trzeba było wyprać jego ukochanego pluszaka. Pamiętam, jak ułożyliśmy w pralni niebieskie ogrodowe poduchy na podłodze, usiedliśmy wygodnie i obserwowaliśmy, jak umazany czekoladą misio wiruje za szybką. Cały czas trzymałam braciszka za rękę, bo obawiał się, że jego miś się utopi.

- Nie mogliście jej po prostu naprawić?

Mama stawia kosz na ziemi.

- Dorośnij w końcu, Luiso. Rzeczy się psują. Takie jest życie. - Odwraca się do mnie. - Wyobrażasz sobie, co tu się dzisiaj działo? Mieszkanie puste, na dole wóz dostawczy. Tragarze już chcieli wracać z naszą nową pralką! Zdążyłam w ostatniej chwili! A kiedy dzwonię do szkoły, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś, dowiaduję się, że wcale cię tam nie było! Jeszcze i ty musisz przysparzać nam zmartwień? Jakbyśmy z ojcem nie przeszli wystarczająco dużo w zeszłym roku. - Wzdycha głośno i kuca. Wkłada brudną bieliznę do bębna pralki.

- A ja? Myślisz, że mnie było łatwo? - Orientuję się nagle, że dygocę. Jakimś cudem przyniosłam do domu leśny chłód.

- W miarę możliwości staraliśmy się trzymać cię z daleka od tego wszystkiego - mówi mama cicho.

Obejmuję się ramionami. Cholerne zimno, zaraz zacznę szczekać zębami.

- Nie bardzo wam to się udało! Czułam się fatalnie, rozumiesz?

Prostuje się. Nadal stoi do mnie tyłem. Starannie odmierza proszek do prania, wsypuje do dozownika. Dolewa płyn do płukania o zapachu lawendy. Szuka w instrukcji obsługi właściwego programu, nastawia, wciska guzik.

- Wreszcie - mruczy. Naciska, naciska, naciska. Naciska cały czas, aż ojciec wchodzi do kuchni. Sięga po instrukcję, czyta.

- Może coś źle robisz. Wszystko jest tu opisane - mówi. Kartkuje książeczkę. Kręci programatorem. - Albo przysłali nam uszkodzony egzemplarz. No, już ja im pokażę. - Instrukcja obsługi dygocze w jego dłoni. Leciutko.

Podążam za jego spojrzeniem, patrzę na wrogie urządzenie.

- A może byście dokładnie zamknęli bęben? - rzucam. Jedno kopnięcie, drzwiczki zaskakują, pralka wypełnia się wodą. Matka zasłania twarz chusteczką i wychodzi z kuchni.

Chcę iść za nią, ale ojciec znowu łapie mnie za ramię.

- Widzisz? Ślad twojego buta na drzwiczkach? Masz to natychmiast zetrzeć!

Moczę szmatkę pod kranem, a on ciągle gada. Coraz głośniej, żeby zagłuszyć szum wody.

- Dość tego! Wychodzisz i wracasz, kiedy ci się żywnie podoba! Zanedbujesz szkołę. A dzisiaj? Ten jeden raz, kiedy byłaś nam potrzebna, nie było cię w domu.

Milczę. Kucam, ścieram z obrzydliwego urządzenia, którego wcale nie chciałam, leśny brud.

- Nie pozwolę, by wszystko legło w gruzach. Najwyższy czas, żebyś przestała zachowywać się jak małe dziecko. Ty także masz pewne obowiązki. Powinnaś traktować je poważnie, ty także, nie tylko my! Masz szlaban. Areszt domowy. Na tydzień.

Areszt domowy? Domowy? Przecież my już nie mamy domu. Nie mamy domu ani rodziny.

- W porządku - mruczę, ciskam mokrą szmatkę do umywalki i idę do swojego pokoju.

Mój pokój. Mój. Pokój. Od teraz - moje więzienie. Czy więzienie to adekwatna kara za to, że szukało się nowego miejsca, w którym można by na nowo ułożyć sobie życie? I to choćby w dniu, w którym mieli dostarczyć nową pralkę? Czy to sprawiedliwe? Moi rodzice nie mają pojęcia o miejscach żałoby, o drzewach z wyrytym imieniem. Zamykam za sobą drzwi. Podchodzę do wieży stereo. Po raz pierwszy w tym pokoju, po raz pierwszy od dawna słucham muzyki. Ostre, gniewne dźwięki. Wściekłe riffy gitar elektrycznych odpędzają

obcość. Basy otaczają mnie murem. Mnie i moje myśli. Owijam się patchworkową kołdrą, która pachnie przeszłością.

Mój pokój to moje więzienie. Muszę tu zostać. Zresztą do lasu nie poszłabym nawet, gdybym mogła. Bo Thursen jest wilkiem.

Mój pokój to moje więzienie. Rodzice pozwalają mi jedynie chodzić do szkoły. Co rano wychodzę na nieustającą szarą mżawkę, zimną, moką. Kulę się pod kapturem, mijam czarne szczeliny w płytach chodnikowych. Obok mnie - stopy w butach - wyczyszczone, brudne, nowych, znoszonych. W kaloszach, w pantoflach. Tylko stopy. Żadnych ludzi, żadnych twarzy.

Szkoła to biało-szary budynek z ozdobną fasadą i rzygaczami na dachu. Stara jak świat. Wysokie pomieszczenia i łukowate okna sprawiają, że kojarzy mi się z zamkiem duchów. Powietrze przesycane zapach wilgotnych kurtek i mokrych włosów. Uczniowie znaczą posadzki mokrymi śladami, tłoczą się w korytarzach.

W klasie siedzę na końcu, po prawej stronie, pod plakatem przedstawiającym europejskie gatunki drzew. Siedzę i czekam, aż skończą się lekcje. Zawsze tak samo, od pierwszego dnia w tej szkole.

Dzisiaj jest inaczej: dzisiaj zabieram głos. Co za dzień! Po raz pierwszy, odkąd uczęszczam do tej szkoły, odpowiadam na pytanie nauczyciela:

- Nie - mówię. - Nie odrobiłam lekcji. - Słowami. Nie tylko ruchem głowy. Wszyscy w klasie odwracają się w moją stronę, do tego stopnia zaskoczyło ich brzmienie mojego głosu. Vanessa siedząca w rzędzie po lewej, Vivian, Alina. I oczywiście Edgar, dwa rzędy przede mną. Edgar, który zbierał dla mnie wszystkie materiały i wręczył mi je, jakby dawał gwiazdkowy prezent. Nie śmieją się, są zdziwieni. Niektórzy uśmiechają się miło. Usiłuję odwzajemnić uśmiech, ale nie bardzo mi to wychodzi. Muszę poćwiczyć.

W domu - dzisiaj nie urwałam się z nawet jednej lekcji - spotykam Lotti. Opowiada mi o wspaniałym miejscu do zabawy, odkryła go kilka ulic dalej. Bo teraz Lotti ma rower. Zachwycona opowiada: wielki dom bez okien, z wielką bramą. Plac zabaw? Z przejściem papele o wspinaniu się, o skokach. Słucham tylko jednym uchem. Myślami jestem w lesie, o zmierzchu, czuję zapach sosen, widzę Thursena. Jego przede wszystkim. Czy mogę tam wrócić? Do wilkołaka? Czy można zakochać się w kimś, kto nie jest człowiekiem? W każdym razie nie zawsze? Nie do końca? Muszę to sobie w spokoju przemyśleć. W końcu mam na to sporo czasu. Pieprzony tydzień w domu.

Jestem sama, muszę sobie zrobić coś do jedzenia. Mama zostawiła mi w lodówce plastikowy pojemnik. Niechętnie, ale posłusznie przelewam zawartość do garnka, mieszam. Śmierdzi. Nie spalenizną, samo jedzenie po prostu śmierdzi. Gęsta, lepka kartoflanka. Fabian nie chciałby jej jeść. Ale też Fabiana nikt by nie zmuszał, dostałby hot doga z frytkami.

Tylko że Fabiana już nie ma. Niemal czuję korzenny zapach keczupu. Ale w końcu w garnku jest tylko kartoflanka, bulgocze. Wyłączam palnik, otwieram

okno w nadziei, że jesienny chłód zatrze ziemniaczany zapach. Lotti odjeżdża spod mojego okna. Ona nie jest więźniem, może iść, dokąd chce. Odjeżdżając, zabiera ze sobą moją zazdrość.

Życie jest do niczego. Nalewam gęstą papkę do talerza, włączam wieżę stereo w dużym pokoju i robię coś, czego mi nie wolno, czyli siadam z jedzeniem na kanapie. Rozkręcam głośność na pełny regulator i wyobrażam sobie, jak głębokie basy sprawiają, że staruszka nade mną spada z krzesła. Niemal widzę, jak drżące szyby obwieszczają światu na zewnątrz, czego słucham. Na dworze, na ulicy. Tam, gdzie nie wolno mi jeść. Kiedy podnoszę do ust ostatnią łyżkę, ktoś dzwoni do drzwi. Nie spodziewałam się, że staruszka z piętra wyżej tak szybko biega po schodach. Ale to nie ona. Otwieram drzwi i w progu stoi mama Lotti. Jest drobniutka, przychodzi mi na myśl, że jest niewiele większa od Lotti. Podoba mi się, jak muzyka wylewa się do holu, niesie się echem po klatce schodowej. Jakby jakaś cząstka mnie zdobywała cały budynek. Mama Lotti coś mówi. Przedstawia się. Anja. Muszę się pochylić, żeby ją usłyszeć. Tłumaczy, że boli ją głowa i czy mogłabym trochę ściszyć muzykę?

- Czymże jest ból głowy wobec szlabanu! - wrzeszczę.

Uśmiecha się. Gdybym była w lepszym humorze, uznałabym pewnie, że jest to uśmiech zrozumienia.

- Muszę wracać do siebie, Lilii jest sama. Ale jeśli się nudzisz, chodź do nas.

Wzdycham, kiwam głową, zamykam drzwi, wyłączam muzykę. Powraca zimna, pusta cisza. Przeglądam płyty DVD, wybieram jeden z filmów akcji z kolekcji ojca. Jeden z tych, których nie wolno mi było oglądać, rzekomo dlatego, że Fabian mógłby się przerazić. Więc teraz chyba mogę go obejrzeć, bo Fabiana przecież już nie ma. Pół godziny i trzy tuziny trupów później mam dość. Fabianowi ten film może by się spodobał. Mnie nie.

Nie wyłączam telewizora, skaczę po kanałach. Nie interesuje mnie talk show, nudzi mnie kreskówka dla dzieci, drażni mnie dokument o zwierzętach - na ekranie jest pantera i martwa zebra. Trafiam na jakże ważne informacje z giełdy, co chwila przez ekran przewijają się reklamy. Zmarnowane pół godziny później wyłączam telewizor.

Uziemiona. Nie mogę wyjść. Jestem jak pantera w zoo. Wydaje mi się, że w oknach w naszym mieszkaniu tkwią metalowe kraty, zimne, twarde. Mam ochotę wbić palce w tapetę, wskoczyć na ścianę; czy to możliwe, że ściany są coraz bliżej? Że sufit obniża się, zabiera mi powietrze?

Muszę stąd wyjść. Natychmiast.

Dopiero w holu przypomina mi się, że przecież nie mogę iść do lasu. Nie wiem, co teraz. Nie wolno mi wychodzić z domu. W końcu nie chcę za bardzo zdenerwować rodziców. Naprawdę. Zazwyczaj. Czy w ogóle mają pojęcie, jakie to trudne? Ciekawe, czy rodzice Sjóll martwią się o nią. Czy rodzice Karra szukają syna?

Anja. Wsuwam stopę między drzwi a framugę, zanim się zamkną, wracam do domu, piszę karteczkę do rodziców. „Jestem na dole”. Kładę koło telefonu. To ta sama karteczka, na której widnieją numery telefonów do szpitali, nabazgrałam informację po drugiej stronie. Dopiero wtedy zatrząskuję za sobą drzwi. Pospiesznie zbiegam piętro niżej. Dzwonię do drzwi.

Czekam niecierpliwie, jakbym się obawiała, że hałas z ulicy wywabi mnie z domu, że odwiedzie mnie od zamiaru, by przestrzegać zakazu wychodzenia. W końcu drzwi stają otworem. Anja się uśmiecha.

- Przyszłaś jednak - mówi. Jakby to było oczywiste. Wzruszam ramionami.

- Mam szlaban. Areszt domowy, nie mieszkaniowy. Wpuszcza mnie do środka, nastawia wodę na herbatę.

Salonik wita mnie drewnem, błękitem i barwami tęczy. Ze ścian uśmiechają się zdjęcia Anji i rysunki Lotti. Anja zapala świecę zapachową, stawia ją na pianinie, pamiętając po babci, jak wyjaśnia. Siadam w fotelu, ogrzewam dłonie o kubek herbaty owocowej, a powietrze przesycę zapachem cynamonu. Z każdym oddechem robię się spokojniejsza, piję słodką herbatę małymi łydkami. Przyglądam się Anji, która siedzi z Lilią na kanapie, oparta o poduszkę w kwiatki, popija herbatę i czyta Lilią ulubioną książeczkę Lotti o różowych wróżkach, aż małej opadają powieki.

Po chwili ciszy zadaję pytanie, które dręczy mnie do samego początku:

- Dlaczego mnie zaprosiłaś? Nie byłam dla ciebie zbyt miła.

- Zajęłaś się Lotti i pomyślałam sobie, że warto, żeby teraz ktoś zajął się tobą. Miałaś taką minę, jakby coś parzyło cię od środka. Jak lawa. - Kreśli dłońmi rysunek płomieni w powietrzu. - Byłaś jak wulkan, który nie chce wybuchnąć, bo wie, że wtedy wszystko spali, ale zarazem czuje, że musi. - Uśmiecha się krzywo. - Nie chciałam, żebyś spaliła nam dom, w końcu ja też tu mieszkam.

- No, za moją sprawą dom zadrżał w posadach, ale mimo mojej muzyki stoi nadal. Przepraszam za hałas. Zwłaszcza że bolała cię głowa.

Anja dotyka czoła, jakby chciała sprawdzić, czy ból nadal tam jest, i wzrusza ramionami.

- Kiedy jest cisza, jest w porządku.

Obracam kubek w dłoniach.

- Powiesz o tym moim rodzicom?

- A powinnam? - pyta.

Zastanawiam się nad nią. Analizuję jej twarz. Brązowe włosy do ramion, niebieskie oczy pod regularnymi brwiami. Bez makijażu, prosta i szczerą. Jest pewnie jakieś dziesięć lat ode mnie starsza. Z kim trzyma? Ze mną? Czy jednak z rodzicami, bo sama jest matką?

- A co? Będiesz trzymała język za zębami, żebyś jeszcze kiedyś zajęła się Lotti?



- Nie. Nie chcę, nie mogę sprzeciwiać się twoim rodzicom. Jeśli dzieje się coś ważnego, muszą o tym wiedzieć. Po prostu nie uważam, żeby ta sprawa z muzyką była ważna.

- Hm. - Kiwam głową i wbijam wzrok w kubek. Resztki cukru przepływają na boki, w miarę jak nim kołyszę.

- Masz chłopaka, prawda? - rzuca mimochodem, wyjmując mi kubek z dłoni, dolewa herbaty. - Twoi rodzice mają coś przeciwko temu?

Piję zbyt szybko, krztuszę się.

- Skąd ten pomysł?

- Często siedzę z Lili w oknie i wyglądam na świat. Widzę, kto tu wchodzi i wychodzi. Widzę, kiedy wracasz ze szkoły i jak szybko znowu wybiegasz. Wracasz późno i choć jesteś zmęczona, trzymasz się bardziej prosto.

- Uśmiecha się pod nosem. - W pewnym sensie jest ciębie jakby więcej. Wiesz, kiedy tu zamieszkaliście, byłaś właściwie przezroczyta.

No cóż. Sięgam po cukier kandyzowany. Trzaska cicho, gdy wrzucam go do herbaty. Czy mogę z nią porozmawiać o Thursenie?

- A teraz co? Pokłóciliście się? - pyta.

- Bo nie wychodzę? Przecież mam szlaban.

- No tak. Ale jesteś zbyt smutna, by to był jedyny powód. Znowu jest jak na początku. Nie, chyba jeszcze gorzej. Obawiasz się, że nie będzie na ciebie czekał?

- Powiesz to moim rodzicom?

- A czy to ważne?

- Tak, bardzo, przynajmniej dla mnie. Ale powiem ci tylko, jeśli nic nie powiesz rodzicom. W ogóle nikomu.

- Luiso, nie mogłabym.

- Obiecuj mi!

- No dobrze, przysięgam na wszystkie świętości. Mam jeszcze coś powiedzieć? Kiedy chodziłam do szkoły, trzeba było splunąć przez ramię. Mam napluć na dywan?

- Robisz sobie jaja?

Uśmiecha się.

- Przepraszam.

- Tak, można powiedzieć, że miałam chłopaka. Teraz on nie wie, czy nadal chcę się z nim spotykać. I pewnie przestał już na to liczyć.

- Zerwałaś z nim?

- To nie tak, jak myślisz. Nie pokłóciliśmy się ani nic takiego. Po prostu dowiedziałam się o nim czegoś, czego przedtem nie wiedziałam.

- Plotki? - Wstaje, otwiera brzuchaty fajansowy pojemnik stojący na kredensie, zagląda ośrodk. - O kurczę, ciasteczka się skończyły. Ktoś ci coś powiedział? Wiesz, może to wcale nieprawda.

- To nie plotki. I wiem to od niego.

- Odważny jest. Czy może głupi? Bo przez to cię stracił.

- Nie, odważny. Zawsze.

- Chodźcie razem do klasy?

Wyobrażam sobie Thursena w klasie; kruk pośród kaczek. Parskam śmiechem.

- Nie, co ty.

- Tak, głupie pytanie, gdyby tak było, spotkalibyście się w szkole. Mieszka daleko?

Wstaję, podchodzę do okna, w którym wisi kryształ, mający ściągać do pokoju promienie słoneczne. Teraz nie przyciąga niczego, na dworze jest zbyt pochmurno i ponuro. Mimo to wyglądam na świat.

- Zadaj inne pytanie.

- On wie o twoim bracie?

Znowu drżą mi dłonie. Patrzę na filiżankę - po herbacie rozchodzą się małe fale. Odpowiadam zduszonym głosem:

- Oczywiście.

- I? Jak na to zareagował?

Wszystko powraca. Widok z wieży. Chwila, w której Thursen mnie chwyta i trzyma. Jego płonący wzrok, moje przyrzeczenie. Jak zareagował? Co zrobił? Wszystko. To dzięki niemu siedzę tu teraz, dzięki niemu żyję. I dzięki niemu tak cierpię, tak za nim tęsknię. To także.

Anja podchodzi, dotyka mojego ramienia. Podaje mi chusteczkę.

- Chodzi mi o to, czy starał się choć trochę cię pocieszyć? Z cichym brzękiem odstawiam kubek na parapet. Wycieram nos i łzy.

- To chyba nie jest takie proste.

Anja głaszcze mnie po ramieniu.

- To chyba fajny chłopak. Wielu facetów uciekłoby, widząc dziewczynę tak nieszczęśliwą jak ty. Woleliby beztróskę u boku weselszej partnerki.

- Wiem. Ale on taki nie jest.

Rozlega się domofon. Lili budzi się, rozgląda, macha rączkami, przeciąga się. Anja podbiega do niej i przytrzymuje, zanim mała spadnie z kanapy.

- To Lotti. Zostaniesz jeszcze chwilę? - pyta i bierze zaspaną Lili na ręce.

Kiwam głową, idę za nią do przedpokoju. Niby dokąd miałabym pójść? Lotti jest już przy drzwiach, zdyszana i umorusana. Rzuca mi kurtkę pod nogi i biegnie do łazienki. Anja wzdycha. Podnoszę kurtkę, wieszam do szafy.

- Wyluzuj, Luiso - mówi Anja z uśmiechem. - Rozerwij się trochę, daj sobie czas, żeby to wszystko przepracować.

A potem razem pieczemy kruche ciasteczka przy wielkim kuchennym stole. Lili siedzi na kolanach Anji i pulchnymi łapkami ugniata ciasto. Ja je wałkuję, razem wycinamy różne kształty. Wkrótce kuchnię wypełnia smakowity zapach. Lotti pokrywa jeszcze gorące ciastka różowym lukrem. Fabian kręciłby na to nosem. Pamiętam, jak kiedyś uparł się, żeby bożonarodzeniowe ciasteczka w kształcie aniołków polukrować na czarno. Twierdził, że to ciasteczka batmany. Ciastko, które zajadam, nagle staje mi w gardle. I nagle skrawki ciasta

i okruszki, które podjadalam, ciążą mi na żołądku. Robi mi się niedobrze. Żegnam się pospiesznie i trzymając się za usta, biegnę na górę, do łazienki. Już w naszym mieszkaniu wymiotuję wszystkim - surowym ciastem, ciasteczkami, kartoflanką i herbatą. Teraz już wiem, czemu Thursen, Norrick, Karr i Sjóll jedzą jako zwierzęta. Wolą mieć w głowach zwierzęce myśli.

Po wymiotach zostaje mi w ustach ohydny posmak. Płuczę usta, myję zęby. Gdy to nie pomaga, biorę prysznic. Stoję pod bieżącą wodą, wcieram w skórę żel do mycia. Bezzapachowy, bo nie chcę niczego czuć. Moje ciało wydaje się dziwne. Nie pamiętam, kiedy ostatnio naprawdę jadłam. Tak z apetytem i uczuciem sytości po posiłku. Coś tu nie gra, w którymś momencie zerwała się moja więź z własnym ciałem. Jestem jak popsuty zegarek, który pokazuje różne godziny, tylko nie tę właściwą. Nie jestem głodna. Mój żołądek pęka w szwach. Gromadzą się w nim wszystkie moje kłopoty, zlepiają w wielki kamień. Ponownie odkręcam kran, spłukuję z siebie resztki mydła, wycieram się. Jestem coraz chudsza. Wszystkie kości, do tej pory ukryte pod tłuszczkiem, są widoczne w pełnej krasie. Suszarka zagłusza rzeczywistość, z monotonnym szumem suszy mi włosy.

W pokoju szukam czystych ciuchów i niczego nie znajduję. W pewnej chwili słyszę, że wrócili rodzice. Cały czas stoję przed lustrem, pełna nienawiści do siebie. Koszulki i swetry wiszą na mnie jak firanki. Koniecznie muszę mieć nowe spodnie. W tej chwili mogę nosić tylko jedną parę, bardzo starą, z dziurą na szwie. Wszystkie inne mimo paska spadają mi z bioder. Niby w czym mam iść do szkoły?

Kiedy wchodzę do dużego pokoju, ojciec długopisem otwiera kopertę. Przytrzymuję dzinsy w pasie. Potrzebne mi spodnie. Teraz. Natychmiast. Jeszcze dzisiaj.

- Potrzebne mi spodnie! - wołam tak głośno, że słyszy mnie także matka w kuchni.

Ojciec wyjmuję z koperty wąski arkusik, przegląda go.

- Najpierw zobaczę, co przyszło - wzdycha.

- Muszę mieć nowe spodnie! Na jutro! Do szkoły!

- Masz spodnie. - Nie słucha mnie, znam ten ton. Zapewne w tej chwili czyta coś, co interesuje go o wiele bardziej niż córka.

- Nie martwcie się, pójdę sama, tylko dajcie mi pieniądze.

- Masz szlaban - przypomina ojciec, kuca przy szafie, wyjmując segregator z najniższej półki. - Nie możesz tak po prostu iść na zakupy.

- Nie chcę iść dla przyjemności, do cholery! Muszę mieć nowe spodnie!

Zwracam się do mamy, która wychodzi z kuchni z zastawioną tacą.

- Mamo?

Mama stawia tacę na stole, rozkłada talerze, układa sztucce, wzdycha.

- Ledwie żyję. Nie możemy odłożyć tych zakupów do weekendu?

Ojciec kładzie segregator na stole, rozkłada go.

- A ty, tato? Halo! Nie możesz na mnie spojrzeć? - Szarpnię za segregator, który przegląda z takim przejęciem. Zamyka go tak energicznie, że niemal przytrząskuje mi palce i Patrzy na mnie gniewnie. - Popatrz! - Odsuwam spodnie od dała. Odstają na szerokość dłoni. - Widzicie to? Wszystkie są takie!

- Co to ma znaczyć, Luiso? - pyta mama. - Dlaczego tak schudłaś?

Pyta, jakbym miała anoreksję! Jakbym schudła celowo! A to się po prostu dzieje. Wzruszam ramionami.

- Nie jestem głodna.

- O Boże, kiedy to się skończy? - wzdycha mama Stawia masło, pieczywo i ser na stole. Zmęczonym krokiem wychodzi z pokoju.

- Nie jesteś głodna? - powtarza ojciec. - Nie możesz dać nam choć chwili spokoju? Nie możesz choć raz pomyśleć o nas? - jego dłonie przecinają powietrze. - Mam ciężką pracę. Teraz muszę przejrzeć wyciągi z konta, sprawdzić, czy bank nas nie oszukuje. Niby jak mam to zrobić, jeśli nie dajesz mi spokoju? - Omiata wzrokiem koszyczek z pieczywem i plastikowy zielony pojemnik z serem. - Mnie też to me smakuje, ale jem!

Mama wraca.

- Masz. - Podaje mi banknot.

- Co to ma znaczyć? - Ojciec otwartą dłonią uderza segregator. - Działasz przeciwko mnie? Luisa ma szlaban!

- Luisa musi mieć spodnie, które z niej nie spadają - zauważa mama zmęczonym głosem. Człapie do kuchni. - A sprawę jedzenia i szlabanu omówimy później.

- Jesteśmy rodziną! - ryczy ojciec za nią. - Sama mówiłaś, że w trudnych chwilach musimy trzymać się razem! Luisa nie chce się podporządkować, a ty ją w tym wspierasz!

- Popatrz na nią, Jens! - Mama wróciła, opiera się o framugę i wskazuje mnie ręką. - Spójrz tylko!

Ojciec wrzeszczy:

- Róbcie sobie, co chcecie! Nie wytrzymam tego dłużej! -Wybiega z pokoju. Trzaska drzwiami, jakby tym sposobem zdołał zatrzymać problemy, oddalić je od siebie. Nie oczekiwałam niczego innego. Jasne, że nie wytrzymuje kłótni. Nie znosi, gdy mówi mu się, że świat nie będzie idealny, jeśli dzień w dzień będziemy się uśmiechać. Nie radził sobie także z chorobą Fabiana. Zachowywał się tak, jakby miał lada chwila wyzdrowieć. Dzień w dzień, aż musiał wybrać synowi trumnę tak, jak inni ojcowie wybierają rower.

Tej nocy śni mi się księżyc. Wielki, złoty, okrągły. Przyciąga mnie. Nie daje spokoju, aż mu ulegam, osuwam się na kolana, śpiewam jego pieśń. Moją rozpaczliwą pieśń. Pieśń, która zdaje się pochodzić z najdalszych zakamarków mojego wnętrza. Drzę cała, od pyska po łapy. Jestem wilkiem.

Po chwili sen mnie wypływa. Siadam przerażona, bez tchu, z głową pełną myśli. Serce wali mi w piersi, nie śpię i zarazem śpię. Wstaję z łóżka, na

zdrętwiałych nogach podchodzę do okna, wpuszczam do pokoju zimne powietrze, pozwalam, by omiotło mi twarz. Powoli, wraz z odgłosami miasta, które nigdy nie zasypia, powracają myśli. Nad moją głową migoczą nieliczne gwiazdy, którym udało się przedrzeć przez miejską łunę. Berlińska noc.

Nie jestem wilkiem. To tylko sen. Ale mało brakowało, a stałabym się zwierzęciem, tamtego wieczoru, gdy Norrock zaprowadził mnie do wilczego kręgu. Znowu czuję w sobie uwodzicielską wilczą moc, jak wtedy gdy zamknął się krąg.

Nikt mnie nie uprzedził, nie powiedział, co miało zaraz nastąpić. Norrock dopuściłby do tego, bym zatraciła siebie, bym zmieniła postać.

I wtedy Thursen wyrwał mnie z kręgu, przerwał czar.

A gdyby przyszedł za późno? Czy zmieniłabym się w bestię? Czworonożnego zabójcę o ostrych zębach? A może zwierzęca postać byłaby tylko formą ucieczki od cierpienia duszy? Czy tak naprawdę byłabym kimś innym? Tysiące pytań.

Thursen śpi teraz pewnie w wilczej postaci gdzieś pod drzewem. Świecą nad nim te same gwiazdy, które widzę z okna. Oddycha tym samym nocnym powietrzem.

Gdzie jest sfora? Śpią osobno czy wtuleni w siebie, jak szczenięta? Czy wzajemnie odpędzają swoje duchy?

Thursen to wilk. To nie człowiek, nie do końca. Nie taki za jakiego go uważałam. Jego świat jest dla mnie przerażająco obcy.

Po szkole wpadam do domu tylko po to, żeby zostawić plecak, potem idę do domu towarowego. Kupuję spodnie, czarne. Z lustra w przymierzalni patrzy na mnie obca dziewczyna.

To mam być ja? Już teraz wyglądam jak jedna z nich. Mam cienie pod oczami niemal równie głębokie jak Thursen. Czy staję się coraz bledsza? A może to tylko efekt coraz dłuższych włosów, które opadają na twarz i spowijają ją cieniem? Od śmierci Fabiana nie byłam u fryzjera.

Już nic nie będzie jak dawniej. Zostaję w nowych spodniach, stare pakują mi w sklepie do reklamówki. Co mam z nimi zrobić? Należą do dziewczyny, którą już nie jestem. Nieco dalej trafiają, razem z torbą, do kontenera na używaną odzież. Mało brakowało, a potknęłabym się o bezdomnego, który w towarzystwie jasnego kundla siedzi na chodniku. Ma wyprostowane nogi, trzyma dłoń w sierści śpiącego psa. Przed nim - tekturowa tabliczka i kilka puszek psiego żarcia. Myślę o innym psie. Muszę się zobaczyć z Thursenem. Z Thursenem, który jest tym, kim jest. I zawsze był tą samą osobą, od kiedy go znam. Tęsknota pali mnie jak żrący kwas.

Szlaban? Niemożliwe. Nie wrócę do mieszkania, jeszcze nie teraz. W drodze na dworzec kupuję kwiaty dla Fabiana. Wsiadam na stacji Nikolassee, ale jakaś częśćka mnie jedzie dalej. Ta częśćka to ułamek mrocznego ciężaru,

który dławi mnie w płucach, leży na sercu. Teraz oddycha mi się nieco lżej.  
Thursen. Puszczam się biegiem.

